



MAUREEN CHILD

Podwójna niespodzianka

Tytuł oryginału
Did You Say Twins?!



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- No, dobrze - mruknął do siebie sierżant Sam Pearce, przeczesując wzrokiem teren, który składał się z ciągnących się po horyzont pól. - Do boju.

Starsza pani, która weszła do sklepu zaraz za nim, wjechała mu wózkami w plecy. Gdy się odwrócił, posłała mu piorunujące spojrzenie.

- Bardzo panią przepraszam - powiedział odruchowo.

- Na litość boską - pokiwała głową tak energicznie, że różowy kapelusik zjechał jej aż na czoło. - Nie uczą was w wojsku, że nie należy tarasować przejścia?

- Służę w piechocie morskiej, proszę pani - poprawił ją, próbując jednocześnie powściągnąć grymas wywołany tą niezamierzoną zniewagą.

Przecież dla cywila, powtórzył sobie w myślach po raz nie wiadomo który, żołnierz piechoty morskiej to praktycznie to samo, co marynarz czy kadet szkoły morskiej.

Starsza pani poprawiła kapelusza, a potem wpiła w niego zmrużone, bladobłękitne oczy.

- Synu - warknęła. - Możesz być sobie samym kapitanem Nemo. Mnie obchodzi tylko to, że przez ciebie mogę się spóźnić na bingo.

Rany, lepiej zejść z drogi kobiecie, której przyświeca jakieś posłannictwo.

- Oczywiście, proszę pani - powiedział i odsunął się na bok.

Westchnęła teatralnie i wyminęła go. Usłyszał jeszcze:

- Idiota. Mężczyźni powinni mieć zakaz wstępu do sklepów. Tylko zawadzają.

W tej kwestii zupełnie się z nią zgadzał. Nie miał jednak wyjścia. Odsunął się jeszcze bardziej na bok, żeby nie tarasować drogi następnemu wózkowi. Młoda matka z wrzeszczącym dwulatkiem posłała mu pełen udręczenia uśmiech i poszła dalej.

Rzeczywiście przeszkadzał. Chyba nie było rzeczy, której nie znosił bardziej niż robienia zakupów. Dlatego zwykle kupował najpotrzebniejsze rzeczy w sklepiku na rogu. Da się żyć na hot dogach i mrożonych burrito. Lecz jego życie miało właśnie ulec zmianie. Złapał wolny wózek. I nic nie można na to poradzić, prawda?

Dłonie na zimnej, metalowej poprzeczce zacisnął tak mocno, jakby chciał ją zmiążyć. Powiedział sobie pod nosem, że potraktuje te zakupy jak militarną akcję. Zbada teren, odszuka to, co mu potrzebne, i wyniesie się stąd jak najszybciej. Miejmy nadzieję, że żywy.

- Patrzcie, patrzcie, kogo ja widzę - usłyszał zza pleców gardłowy kobiecy głos. Westchnął.

Znał ten głos. Właściwie nie miał wyboru, musiał się poddać temu, co nieuniknione. Obrócił się i zmusił do uśmiechu.

- Witam szanowną panią - powiedział i skinął lekko głową.

- Szanowną panią? - powtórzyła Leeza Carter i nieaktownie parsknęła śmiechem. - Stary, przecież jesteśmy praktycznie rodziną.

Och, trochę się zapędziła, pomyślał Sam. Leeza wdarła się w życie rodziny Fortune'ow w chwili, gdy przyjechała do San Antonio z Lloydem Wayne'em Carterem. Wkrótce potem Lloyd, były mąż Mirandy Fortune, przyszedł na rodeo i zaczął się popisywać. Próbował ujeździć dzikiego mustanga. Zginaj na miejscu. Po tym wypadku wszyscy myśleli, że Leeza wyjedzie.

Ale jej było się równie trudno pozbyć, jak gumy do żucia przyklepionej do podeszwy buta. I była tak samo ponętna. Miała tlenione włosy i wyblakłe, fiołkowe oczy. Kiedyś posiadała być może figurę Mae West, ale teraz niewiele z tego zostało. W swoich najlepszych latach była kociakiem, który uganiał się za kowbojami jeżdżącymi od rodeo do rodeo. Teraz była już tylko wyliniąłą bezpańską kocicą.

- Robisz zakupy, co? - zapytała, zerkając to na niego, to na jego pusty wózek.

- Owszem, proszę pani. I lepiej będzie, jeśli się już do tego zabiorę. Pani wybacz.

Nie chciał być niegrzeczny, ale nie miał zamiaru tracić czasu na rozmowy z kobietą, której nie darzył nawet odrobiną sympatii. Ani na zastanawianie się, co też jej chodzi po głowie. Skupił się na tym, co go tu przywiodło.

Rozglądał się dookoła, unikając jednocześnie kolizji z innymi wózkami. Spojrzał na wiszące pod sufitem tablice. „Przybory toaletowe”, „artykuły papiernicze”, „higiena ko-

bieca". Dobry Boże. Cóż, przynajmniej tę ostatnią alejkę mógł sobie podarować.

Z głośników sączyła się neutralna muzyka, co jakiś czas przerywana ogłoszeniami o promocjach. Dzieciaki płakały i domagały się prezentów, matki ucinały sobie pogawędkę między półkami. Lecz do Sama prawie nic z tego nie docierało. Ze stoickim spokojem szukał pewnej konkretnej alejki. A jednocześnie zachodził w głowę, jak to się mogło stać, że się tutaj znalazł.

Michelle Guillaire zatrzymała wózek i zapatrzyła się w półkę z wypiekami. Postawiła sobie w duchu pytanie, czy jej dieta trwa już wystarczająco długo.

- Gdy Michelle je tylko warzywa i ma szlaban na słodycze - mruknęła - robi się wyjątkowo zrzedliwa.

Po czym uśmiechnęła się do siebie i sięgnęła po pudełko pączków oblanych czekoladą.

Trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby w nagrodę za zrzucenie trzech kilogramów kupować sobie coś niezdrowego do jedzenia, ale w tym momencie była zbyt głodna, żeby się nad tym zastanawiać. Szybko rozerwała opakowanie, wyciągnęła pączka i zatopiła w nim zęby. Po czym, z nowym zapałem, ruszyła na poszukiwanie pozostałych rzeczy, które powinna kupić.

Dobrze jest znowu znaleźć się wśród ludzi. Ostatnio zdecydowanie za dużo czasu spędzała w biurze, przy komputerze. Uśmiechnęła się do dziewczynki, która była zajęta bezskutecznymi próbami ściągnięcia na siebie uwagi matki. Mi-

chelle starała się zignorować delikatne ukłucie w sercu. Zawsze chciała mieć dzieci.

A teraz skończyła już trzydzieści jeden lat i była równie samotna, jak ten biedny żołnierz o dość nieprzytomnym wyglądzie.

Michelle stanęła jak wryta, zmarszczyła brwi i cofnęła się, żeby lepiej przyjrzeć się mężczyźnie w mundurze. Serce jej zatrzepotało w piersi.

Wysoki. Jasnobrązowe włosy podgolone na sposób, w jaki strzygą się żołnierze piechoty morskiej. Przyglądała się linii jego podbródka, szerokim ramionom, długim nogom. Przecież ona zna ciemnozieloną świetlistość jego oczu i delikatny dotyk jego dłoni. O matko.

Dziesięć lat minęło od chwili, gdy jej dotykał, a jednak na samo wspomnienie poczuła mrowienie skóry. Michelle wzięła długi, głęboki wdech. Powtarzała sobie w duchu, że przecież teraz są dorośli. Dorośli. Mogliby się zaprzyjaźnić. Zalała ją nagła fala gorąca, która wyraźnie dowodziła, że akurat to ostatnie jest wierutnym kłamstwem.

To śmieszne, pomyślała, przełykając resztki pączka. Przejechała językiem po przednich zębach, żeby sprawdzić, czy nie przywarły do nich resztki czekolady, a potem podświadomie poprawiła włosy i wygładziła krwistoczerwoną bluzę, którą miała na sobie. Oczywiście musiała go spotkać właśnie wtedy, gdy jest nieumalowana. Może powinna szybko i po cichu stąd zniknąć. Udać, że go nie zauważyła. Ale nic z tego. Nogi już ją niosły w jego kierunku.

Umysł Michelle pracował równie szybko, jak jej serce.

Już wcześniej doszły ją słuchy, że Sam wrócił do miasta. Tylko że nie spodziewała się wpaść na niego w sklepie spożywczym, nie wspominając o... rozejrzała się dookoła.

„Alejce z żywnością dla dzieci”?

Gdy podeszła bliżej, usłyszała, że Sam mówi coś do siebie. Dźwięk jego niskiego, chropawego głosu sprawił, że dostała gęskiej skórki. Przez głowę z szybkością światła przeleciały jej strzępy wspomnień. Ich splecione w ciemnościach ciała. Szept Sama szemrzący wzdłuż jej kręgosłupa, podczas gdy jego dłonie błędziły w innych rejonach.

Michelle zmarszczyła brwi. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego w supermarkecie zrobiło się nagle tak nieznośnie gorąco.

- Przecier marchewkowy, przecier szpinakowy. Na Boga, dzieci mają to jeść? - zapytał na głos.

- Jak się nie ma zębów, to porządny stek stanowi zbyt poważne wyzwanie - zażartowała Michelle i spięta czekała na jego reakcję.

Zamarł na długą chwilę, a potem wolno się odwrócił. Gdy tylko spoczęły na niej jego zielone oczy, Michelle poczuła, że robi się jej miękko w kolanach. Och, na Boga. Nic się nie zmieniło.

- Michelle.

Nie było to ciepłe powitanie, ale przynajmniej na nią nie warknął. Przełknęła ślinę, uśmiechnęła się z wysiłkiem i powiedziała:

- Cześć, Sam. Słyszałam, że wróciłeś do miasta.

Znajomi prześcigali się w informowaniu jej o jego powrocie do San Antonio.

Zacisnął ręce na słoiczkach z pokarmem dla dzieci, aż zbiały mu kostki.

- Tak. Jestem tu od jakiegoś miesiąca.

No, nieźle idzie.

- Wyglądasz... - zamilkła, ledwie powstrzymując się przed powiedzeniem czegoś głupiego. Na przykład, że wygląda rewelacyjnie. - Dobrze wyglądasz - skończyła bez przekonania. Zdawała sobie sprawę, że to największe niedopowiedzenie w historii.

- Ty też - powiedział, ogarniając ją wzrokiem.

Mogłaby iść o zakład, że wyczuł, jak rośnie temperatura jej ciała.

- Przepraszam - powiedziała jakaś kobieta za jej plecami. Michelle podskoczyła i przesunęła swój wózek na bok.

Spojrzała na starszą panią w brzydkim, różowym kapeluszu i ze zdziwieniem stwierdziła, że kobieta posłała Samowi piorunujące spojrzenie. Lecz zaraz odsunęła od siebie tę myśl i zapytała:

- Co cię tu sprowadza?

- Rozpacz - odparł ponuro. - Coraz większa rozpacz.

- Co takiego?

- Sama popatrz - powiedział, machając w stronę półki z jedzeniem dla dzieci ręką, w której trzymał jeden ze słoików.

- Skąd mam wiedzieć, co wybrać? Jakie warzywa? Jaka marka? Słoiki czy kartoniki? Kaszki, zupki czy preparaty mleczne? Co się dzieciom daje? - W miarę jak mówił, coraz bardziej podnosił głos. - A jeśli zupki, to konkretnie jakie? A mleko? Sojowe? W proszku? Gotowe do spożycia? Do mieszania?

Ledwie powstrzymała uśmiech.

- Myślałam, że wolisz piwo.

Nagle przeniósł wzrok na nią.

- Wolę. I muszę przyznać, że w tej chwili piwo dobrze by mi zrobiło.

Michelle miała wrażenie, że dostrzegła w jego oczach błysk paniki, ale na pewno musiała się pomylić. Sam „Burzki” Pearce nie bał się nikogo i niczego. Swój przydomek zdobył bynajmniej nie cielecą łagodnością.

- Co się dzieje, Sam? - zapytała, powtarzając sobie w myślach, że powoduje ją czysta ciekawość.

- Och, nic takiego - mruknął i odstawił ostrożnie słoiczki na półkę, jakby się bał, że zaraz posypie się na niego lawina żywności dla dzieci. - Po prostu nastąpił koniec znanego mi świata.

- Myślałam, że to się stało w marcu zeszłego roku.

- Co?

Wzruszyła ramionami.

- Czytałam artykuł w gazecie. No, wiesz... o tym, że jesteś jednym z Fortune'ów.

Mogła sobie tylko wyobrazić, jakie dziwne to musiało być dla niego. Dowiedział się, że jest członkiem poważanej rodziny.

Sam przestąpił z nogi na nogę. Nachmurzył się jeszcze bardziej.

- To nie ma z tym nic wspólnego. To... - Pokręcił głową.

- Do diabła, sam jeszcze nie wiem, co to wszystko oznacza.

Dobrze, pomyślała, jego problem nie ma związku z tym,

że niespodziewanie odziedziczył nie tylko pieniądze, ale także dużą rodzinę. W takim razie, co to może być?

- Brzmi poważnie.

- Żebyś wiedziała.

No cóż, pomyślała. Nadal jest tak samo rozmowny, jak kiedyś. Często się z nim droczyła, powtarzając, że gdyby go kiedykolwiek złapano do niewoli, to u niego każdy sekret byłby bezpieczny. Nawet na torturach nie zdołano by wyduśnić z niego więcej, niż jedno czy dwa zdania.

Skrzyżował ramiona na piersiach, rozstawił szeroko nogi w pozie „Zaraz ci pokażę” i wyrzucił z siebie:

- Właśnie zostałem ojcem.

Oszołomiona Michelle gapiła się na niego jak sroka w gnat. Takiej wiadomości się nie spodziewała. Nic nie słyszała, żeby Sam miał żonę. Poczowała ukłucie żalu. Próbowwała wyobrazić sobie kobietę, z którą spłodził dziecko. No cóż, co sobie wyobrażała? Że gdy go rzuciła dziesięć lat temu, to wstąpił do zakonu? Jej życie toczyło się dalej. Dlaczego z Samem miałyby być inaczej?

- Ja... - zaczęła, zachodząc w głowę, co powiedzieć. Sądząc po jego minie, gratulacje nie były mile widziane.

W końcu wzruszyła ramionami i powiedziała:

- *Mazł tow?*

Uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Dzięki.

- Chłopiec czy dziewczynka? - zmusiła się do pytania.

- Bliźniaczki.

Bliźniaczki. Wyobraziła sobie dwójkę niemowlaków z je-

go promiennie zielonymi oczami. Zdusiła w sobie westchnienie czystej zazdrości.

- Kiedy to się stało?

- Kilka godzin temu.

- Mówisz poważnie? - zapytała. - To chyba powinienes być teraz w szpitalu, z żoną?

- Co? - Wbił w nią wzrok, a potem pokręcił głową. -

Nie, nie jestem żonaty. Nic nie rozumiesz. Bliźniaczki nie są niemowlętami. Mają po dziewięć miesięcy.

Między półkami pojawił się kolejny wózek. Umęczona młoda kobieta przeprosiła ich, podeszła do półki i wzięła dwie puszki z mlekiem w proszku. Chwilę później znowu byli sami. Wsłuchiwali się w znudzony głos spikera ogłaszającego obniżkę cen mielonej wołowiny.

- Nie pojmuję tego - powiedziała Michelle.

- Nie ty jedna - mruknął Sam, a potem spojrzał w stronę odległego końca alejki, gdzie wznosiła się istna góra jednorazowych pieluszek. - Rany boskie...

- O co chodzi? - dopytywała się, jeszcze bardziej zaciekawiona.

Spojrzał znowu na nią. Szczerze mówiąc i tak wołał patrzeć na Michelle. A niech to. Wyglądała jeszcze lepiej niż dziesięć lat temu. Wielka czerwona bluza ukrywała jej figurę, ale wąskie dzinsy podkreślały długie, kształtne nogi. Na tej podstawie doszedł do wniosku, że niewiele się zmieniła. Czarne jak smoła włosy okalały jej twarz i opadały na ramiona w gęstych, miękkich falach. W fiołkowych oczach lśniła troska i zaciekawienie.

Uśmiechnął się do siebie. Michelle zawsze była ciekawska. Nieraz powtarzała, że być może ciekawość to pierwszy stopień do piekła, ale przynajmniej człowiek idzie tam doinformowany.

Ależ on za nią tęsknił. Jak szalony. Och, nie chciał tego. Nie planował. W końcu, gdy kobieta odrzuca oświadczenia, instynkt nakazuje zapomnieć o niej najszybciej, jak się da.

Niestety, łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Zapomnieć Michelle Guillaire...

- Sam? - wyrwała go pytaniem ze zbyt niebezpiecznego zamyślenia. - Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

Do licha, miał wrażenie, że sam nie wie, o co chodzi. Potarł szczękę, spojrzał jej prosto w oczy i cicho przyznał, że potrzebuje pomocy. Dlaczego nie miałyby mu pomóc Michelle?

- Bliźniaczki są moimi córkami chrzestnymi. Ich rodzice zginęli w wypadku kilka dni temu. Za parę godzin lecę po nie na Hawaje.

- Przyznano ci opiekę nad dziećmi? - zapytała poważnie.

Trudno było się dziwić jej zaskoczeniu. Sam nie wyszedł jeszcze z szoku. Gdy Dave poprosił go, by został prawnym opiekunem dzieci, zgodził się od razu, bo nie przypuszczał, że jego pomoc może być kiedykolwiek potrzebna. Ale los lubi płać figle.

- Mów mi: sierżant mama.

ROZDZIAŁ DRUGI

Minęło kilka chwil, nim jego słowa dotarły do niej z całą siłą. Michelle zrobiło się żal rodziców, którzy nigdy nie zobaczą, jak dorastają ich dzieci. Lecz równocześnie pojawiła się myśl, że w tym momencie nie ma czasu na melancholijną zadumę. Chwilę później przystąpiła do akcji. W końcu Samowi zostało tylko parę godzin do wyjazdu. Mogła coś dla niego zrobić, prawda? Mogła pomóc mu się do tego przygotować.

- Wybiore coś do jedzenia - powiedziała, przejmując dowodzenie. - A ty zajmij się pieluszkami.

Wciągnął powietrze do płuc, a potem wypuścił je ze świsem.

- To pewnie zabrzmii jak kwestia ze starego filmu, ale... ja nie mam pojęcia o dzieciach. Jaki rozmiar mam kupić?

Ona też nie miała w tej kwestii jasności. Była jedynaczką. Nie dorastała w otoczeniu dzieci. Niektórzy jej przyjaciele mieli dzieci, ale nigdy nie zagłębiła się w szczegóły dotyczące rozmiarów pieluszek.

- Nie wiem. Chyba raczej duże niż małe. Jeśli będą za duże, zawsze możesz je zawinąć. Natomiast zbyt małej pieluszki z plastiku i papieru nie rozciągniesz.

- To ma sens - odparł i ruszył alejką krokiem człowieka, który ma misję do wypełnienia.

Co było zgodne z prawdą, pomyślała. Jej wzrok spoczął na półce z żywnością dla dzieci. Dobrze choć, że producenci umieszczali na słoiczkach informacje o wieku dziecka. Wybrała warzywa, potrawy mięsne i owocowe, jak również soki i kaszki. Gdy skończyła, Sam stał już koło niej i wrzucał kilka opakowań pieluszek do wózka.

- Co jeszcze? - zapytał.

- Mleko - odpowiedziała. - Starsze dzieci nie piją już preparatów mlecznych.

- Doskonale - mruknął. - Z mlekiem jestem w stanie sobie poradzić.

Jechała swoim wózkiem zaraz za nim. Zmierzali do działu z nabiałem. Po drodze miała okazję podziwiać jego zgrabny, jak zawsze, tyłeczek.

- Pełne?

- Co? - Natychmiast uniosła wzrok, jak nastolatka przyłapaną na czytaniu pikantnej książki. - Aha. Tak. Mleko pełnotłuste.

- Myślisz, że to już wszystko? - zapytał patrząc na zawartość wózka.

- W tej chwili - odparła szorstko, po czym odchrząknęła. - Przygotowałeś mieszkanie na ich przyjazd?

- Łóżeczka już kupiłem. Mają je dostarczyć przed moim powrotem.

- To nie wszystko.

- A czego im więcej trzeba? - zapytał z taką miną, jakby

bał się odpowiedzi na to pytanie. - Mają co jeść i gdzie spać. Co jeszcze?

- Mnóstwo rzeczy - oznajmiła i już miała zacząć wyliczać, gdy coś jej przyszło do głowy. - Słuchaj, Sam, może pojedziemy razem do ciebie i pomogę ci wszystko zorganizować?

Zesztywniał. Michelle miała przez chwilę wrażenie, że jej odmówi. Zresztą może tak by było najlepiej. Sam na sam z „Burzą” Pearce'em w jego mieszkaniu - to, zdaje się, nie był najszczęśliwszy pomysł. Minęło dziesięć lat, ale sądząc po przyspieszonym rytmie, w jakim biło jej serce, rozłąka nie była jeszcze wystarczająco długa. Nadal przyciągał ją jak magnes.

Za to on wcale nie robił wrażenia, jakby walczył z pragnieniem porwania jej w ramiona, więc może to wszystko dzieje się tylko w jej głowie? Rozżaliła się. Od czasu do czasu to uczucie podnosiło swoją szpetną głowę. Gdy staje się twarzą w twarz z mężczyzną, którego się kiedyś kochało bez reszty, to zupełnie naturalne, że człowiek robi się nieco... no, dobrze, bardzo zdenerwowany.

Lecz nie była już tą dziewczyną, co wtedy. Zmieniła się. Dorosła. Wyszła za męża. Owdowiała. Sam na pewno też się zmienił. To, co czuła, było bez wątpienia jedynie dopalającym się żarem miłości, która tak naprawdę zgasła wiele lat temu. Reagowała na niego jak pies Pawłowa. Widzisz Sama - zaczynasz się ślinić.

Ale jakoś sobie z tym poradzi. Udowodni i sobie, i jemu, że zrywając z nim przed laty, postąpiła słusznie.

Ponieważ nadal się nie odzywał, Michelle przerwała milczenie:

- Słuchaj, sam powiedziałeś, że masz tylko kilka godzin do odlotu. We dwójkę pójdzie nam szybciej.

Zastanawiał się nad tym przez jakieś pół minuty. W końcu kiwnął szorstko głową.

- Dobrze - powiedział. -I dziękuję.

Michelle przywołała na twarz szeroki uśmiech i stwierdziła:

- Od tego się ma przyjaciół.

- Tak nas postrzegasz? - zastanowił się na głos Sam.

- Uważasz, że jesteśmy przyjaciółmi?

- Moglibyśmy nimi zostać - odparła łagodnie. - Lepsi przyjaciele niż wrogowie, prawda?

- Nigdy nie byłem twoim wrogiem, Michelle - oznajmił.

Jego głos był cichy i chrapliwy. Miała takie wrażenie, jakby drapał ją delikatnie po plecach.

- Wiem - powiedziała. - Tylko że...

- Posłuchaj - przerwał jej. - Wydaje mi się, że byłoby łatwiej, gdybyśmy nie wracali do przeszłości. Zacznijmy wszystko na nowo. Od teraz.

- Dobrze - odpowiedziała i odsunęła się na bok, żeby mógł wyminąć ją wózkiem i podjechać do kasy.

Gdy szła za nim, zaczęła ją męczyć pewna myśl. Przecież fakt, iż nie będą rozmawiać o przeszłości, nie oznacza, że nie będą o niej myśleć.

Jego „mieszkanie” było tak naprawdę małym domkiem położonym w głębi dużej działki. Frontowy ogród ocieniało

kilka prastarych dębów. Między dwoma, które rosły najbliżej werandy, zawieszono hamak. Stary drewniany dom należałoby pomalować. Lecz, nie wiedzieć czemu, wyblakła biała farba i czarne okiennice sprawiały, że robił wrażenie bardziej przytulnego niż wychuchane, nowoczesne domy sąsiadów.

Wzdłuż podjazdu rosło kilka krzaków późno kwitnących chryzantem. Dzięki temu na tle dalekiego od doskonałości trawnika rysowało się parę nieregularnych, postrzępionych plam koloru. Gdy Michelle parkowała samochód, jej umysł odruchowo oddał się planom dotyczącym pielęgnacji kwiatów, przystrzyżenia trawnika i generalnego zadbania o całą posiadłość.

Zachowuje się niepoprawnie. Powinna jakoś powściągnąć ten swój instynkt wicia gniazda. Zwłaszcza w obecności Sama. Bo nie dość, że było to bezpodstawne, to jeszcze w dodatku miała prawie stuprocentową pewność, że z jego strony nie byłoby mile widziane.

Lecz nic nie mogła na to poradzić. W końcu zarabiała na życie planując różne uroczystości. Najczęściej wesela. A ten Ogród był wprost idealną scenerią na przyjęcie. Sporo miejsca dla gości, jest gdzie pospacerować. Oczami duszy widziała stoliki i krzesła rozstawione na trawie, łopoczące na łagodnym wietrze białe obrusy. Na gałęziach drzew powiesiłaby papierowe lampiony, a wyżej, wśród listowia ^ drobne białe lampki. W wyobraźni słyszała przyciszony szum rozmów i pobrzękiwanie kryształowego szkła. Tak. Przy niewielkim nakładzie sił w ogrodzie Sama można by urządzić przyjęcie doskonałe.

- Idziesz? - zawołał Sam.

Oderwała wzrok od wyblakłej świetności ogrodu i spojrzała na niego. Stał koło swojego samochodu.

- Idę, idę - odpowiedziała.

Złapała torebkę i wysiadła z auta.

Było piękne popołudnie. Styczeń w Teksasie potrafi być czasami cudowny. Właśnie w takie dni teksańczycy przypominali sobie, dlaczego tak kochają tę ziemię. Nad głowami rozciągało się niebo błękitne do bólu. Słaba bryza przeczesywała włosy Michelle.

Sam rzucił jej klucze, wyjął torby z zakupami z bagażnika i kiwnął głową, żeby zatrzasnęła kłapę. Następnie ruszył w stronę frontowych drzwi. Zatrzymał się na najniższym stopniu, żeby ją przepuścić.

Michelle wsunęła klucz do zamka, przekręciła go i otworzyła drzwi do typowego domu kawalera. Drewniana podłoga była upstrzona skarpetkami i bielizną. Na trzynożnym krześle, które chyba tylko cudem utrzymywało równowagę, chwiała się sterta gazet. Powietrze przesycone było zapachem smażonego boczku i dymu papierosowego.

Pociągnęła nosem i odwróciła się do niego.

- Myślałam, że rzuciłeś palenie dziesięć lat temu.

- Bo tak jest - odpowiedział, mijając ją i zmierzając do drzwi na drugim końcu pokoju. - Koledzy wpadli do mnie wczoraj na pokera.

To wyjaśniało obecność pustych butelek po piwie i torebek po chipsach, spod których nie było widać stołu.

Nie ma co. Idealne warunki dla dzieci. Wystarczyło, że się pobieżnie rozejrzała po pokoju, a od razu wypatrzyła kilka

niebezpiecznych miejsc. Pokręciła głową. Poszła za Samem do kuchni, która pewnie uchodziła za nowoczesną w czasach, gdy zbudowano dom... czyli w latach trzydziestych.

Błękitne płytki z granatową bordiurą ciągnęły się wzdłuż blatu. Pojedynczy zlew był tak głęboki, że zmieściłaby się w nim zawartość całej pralki. Niewiarygodnie mała lodówka stała w kącie obok kuchni, która chyba pamiętała jeszcze palenie drewnem. W przeciwległą ścianę wbudowano kredens, który w zamierzeniu miał mieścić porcelanę, lecz teraz trzymano w nim papierowe talerze i kolorowe plastikowe kubki. Na małym stole koło szerokiego frontowego okna stał talerz z zastygłym żółtkiem i połową plasterka boczku. Zapewne były to resztki śniadania Sama.

Michelle obróciła się wolno. Zanim podniosła na niego wzrok, ogarnęła spojrzeniem całe długie, wąskie pomieszczenie.

- Miłe miejsce - powiedziała bez przekonania.

Przerwał wypakowywanie zakupów i podniósł na nią wzrok.

- Nie spodziewałem się gości.

- Ale spodziewasz się dzieci.

- Tak. I co z tego?

- Dużo - mruknęła. Wyjęła jedzenie dla dzieci i rozglądała się za jakąś szafką, w której mogłaby je schować. - To miejsce absolutnie się nie nadaje do zamieszkania przez dzieci.

Oszupiała wpatrywała się w zawartość jednej z szafek. Niesamowicie, że można mieć w domu tyle chipsów i zup w puszkach. On się tym odżywia? Kręcąc głową, opróżniła

jedną półkę i zaczęła metodycznie ustawiać na niej słoiczki z warzywnymi i owocowymi przecierami.

- Co masz na myśli?

- Na przykład to, że przez szerokość całego salonu ciągną się jakieś kable. Jest jeszcze ława ze szklanym blatem oraz trzynóżne krzesło, które tylko czeka, żeby runąć na raczkującego malucha.

Nachmurzył się i rzucił pustą torbę w kierunku kosza na śmieci.

- Dowiedziałem się o śmierci Dave'a i Jackie zaledwie parę godzin temu - powiedział. - Nie miałem czasu na...

- Zamilkł, popatrzył na nią i przyznał: - Do licha. Nawet gdybym miał na to tydzień, nie pomyślałbym o takich rzeczach. - Z wyraźnym wstrętem wymruczał pod nosem: - Nie ma co. Rewelacyjnie się zapowiada.

- Nie jest aż tak źle - powiedziała Michelle i starannie złożyła pustą torbę, po czym podniosła drugą z podłogi. Wyglądziła ją i dodała: - Moim zdaniem wystarczyłby dzień czy dwa na przygotowanie domu. Trzeba tylko wszystko dobrze przemyśleć.

- Nie mam na to dnia czy dwóch - oznajmił Sam spoglądając na zegarek. - Mam niecałe dwie godziny.

Był w klinczu. I to porządnym. A Michelle opanowało instynktowne pragnienie, żeby się wszystkim zająć. Być może będzie tego później żałowała, ale nie potrafiła się powstrzymać i zapytała:

- A może zostawisz mi klucze i ja wszystko przygotuję, kiedy ty pojedziesz po dzieci?

- Co?

- Pewnie - ciągnęła dalej, nabierając tempa. - Zajęłabym się wszystkim. Łóżeczka też mają dostarczyć wtedy, kiedy ciebie nie będzie.

Sam gapił się na nią przez całą długą minutę. Nie był pewien, czy go słuch nie myli. Nie rozmawiał z nią przez dziesięć lat. W dodatku po ostatniej rozmowie nie rozstali się jak przyjaciele. A teraz ona z własnej i nieprzymuszonej woli chce mu pomóc wydostać się z tego dołka?

Czemu?

- Mówię poważnie - powiedziała. Już kręciła się po kuchni, biorąc do ręki to to, to tamto, ustawiając prosto, wstawiając brudne naczynia do zlewu i puszczając na nie wodę. - W ciągu tygodnia mogłabym zrobić z tego domu idealne miejsce dla dzieci.

- Nie wątpię - powiedział. Zastanawiał się, czy w jego głosie słyhać, jaki jest spięty, czy też tylko jemu tak się zdaje. - Pytanie tylko, dlaczego chcesz to zrobić?

Zamarła, a potem wolno zakręciła kurek z wodą. Nagła cisza zawisła ciężko w powietrzu. Wreszcie Michelle odwróciła się i spojrzała na niego. Uśmiechnęła się nieśmiało. Zawsze przyprawiało go to o zawrót głowy. Powiedziała po prostu:

- Nazwijmy to przyjacielską przysługą.
Przyjaciele.

Nigdy w życiu nie czuł się przyjacielem Michelle. Pragnął jej. Kochał ją. Pożądał z taką siłą, że nie był w stanie myśleć o niczym innym. A gdy odrzuciła jego oświadczyzny, niemal

ją zniechęcił. Ale nigdy, przenigdy nie chciał się z nią przyjaźnić.

- Robisz to z litości, prawda? - zapytał.

Odrzuciła głowę do tyłu i wbiła w niego wzrok.

- Z litości?

- Tak. Doszedłeś do wniosku, że nie dam sobie rady, więc pospieszyłeś na ratunek?

Michelle zamrugnęła. Sięgnęła po wymięty ręcznik i wytarła ręce.

- Nie chciałam cię urazić. Próbowałam tylko pomóc.

Niech to licho. Sam podniósł rękę i spojrział na zegarek. Czas uciekał. Nie chciał tak jej potraktować. Ale też nie spodziewał się, że wpadnie na nią w sklepie, że wrócą stare uczucia, które powinny zostać głęboko zagrzebane. Lecz, z drugiej strony, czy to jej wina, że on nie potrafi się uporać z przeszłością?

Nie.

Czy potrzebna mu pomoc?

Tak.

Wymięła go. Szła w stronę drzwi. Zaraz odejdzie. Coś trzeba zrobić. Złapał ją za rękę i zatrzymał. Poczł gwałtowny wybuch gorąca w piersiach. Natychmiast ją puścił, ale i tak nie dość szybko.

- Michelle - powiedział niepewnie, wkładając ręce do kieszeni. - Posłuchaj, bardzo cię przepraszam, że zachowałem się jak palant.

- Wcale się tak nie zachowałeś.

- Owszem, zachowałem się - stwierdził, a potem dodał:

- Nie mam nawet czasu na porządne przeprosiny. Ale jeśli

mówiałaś szczerze, jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, to...
byłbym wdzięczny.

Uśmiechnęła się, a jemu zrobiło się miękko w kolanach. Niech to diabli. To nie w porządku, że nadal tak go ciągnie do tej kobiety. Zdał sobie przy okazji sprawę z tego, że im więcej czasu z nią spędzi, tym gorzej dla nich obojga. Choć z drugiej strony nie mógł sobie pozwolić na odrzucenie pomocy, gdy tak desperacko jej potrzebował!

Pewnie mógłby zapukać do drzwi Fortune'ów. Lecz pokrewieństwo z nimi wciąż było dla niego czymś tak nowym, że nie czuł się pewnie. Nie. Jeśli ktoś ma mu pomóc, to właśnie Michelle.

- Dobrze - powiedziała, a potem zapytała: - Jak zamierzasz się dostać na lotnisko?

- Zostawię tam samochód na parkingu.

Pokręciła głową i ruszyła w stronę drzwi.

- Nie ma potrzeby. Zawiozę cię. I odbiorę. Nie dasz rady sam z dwójką dzieci.

Och, nie miał wątpliwości, że w kwestii dzieci byłaby bardzo pomocna. Tylko kto pomoże jemu w kwestii Michelle, zapytał sam siebie w duchu. Złapał swój worek marynarski i ruszył w stronę samochodu.

Dookoła mrowił się tłum. Odnosiło się wrażenie, że to ławice ryb podążające na żerowiska. Gdy wywołano jego lot, Michelle zdobyła się na szeroki uśmiech.

- Powodzenia. Masz mój numer telefonu. Zadzwoń, jak będziesz wiedział, kiedy wracacie.

- Zadzwoń. - Spojrzał na zmniejszającą się kolejkę do odprawy. - Muszę już iść.

Michelle kiwnęła głową i zanim zdążyła się zastanowić nad tym, co robi, uściśnęła go. Ją samą własne zachowanie sprawiło w oszołomienie. A co on musiał sobie pomyśleć?

Lecz chwilę później poznała odpowiedź na to pytanie. Sam otoczył ją ciasno ramionami i przytulił mocno do siebie. Potem ją puścił i zniknął.

A Michelle, jak zawsze, została sama.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Żadna podróż nie wydawała się Samowi tak długa jak ta. Rany, nawet transport wojskowy do Zatoki Perskiej się do tego nie umywał.

Minęły trzy dni. Długa kolejka ludzi ciągnęła środkowym przejściem samolotu. Ze wszystkich stron słychać było zderzane szeptki. Zmęczeni pasażerowie przestępowali z nogi na nogę. Czekali, aż ci, którzy są przed nimi, wyjmą bagaż podręczny ze schowków nad głowami.

Sam podzielał ich odczucia. Bagaż podręczny to w założeniu jedna mała walizka. A teraz obejmował również laptopy, gitary, składane wózki, torby z ubraniami... Nigdy nie potrafił zrozumieć, czemu ludzie muszą ciągnąć do kabiny pasażerskiej cały swój bagaż. Skoro lot trwa pięć czy sześć godzin, to można poświęcić kolejny kwadrans i poczekać na odbiór walizek z luku bagażowego.

Zza pleców usłyszał słabe kwilenie. Obejrzał się. To jedna z bliźniaczek. Ledwo je rozróżniał, ale mimo to zdążył już nadać im przydomki. To „Beksa”. A jej siostra to „Plujka”, co i tak brzmiało lepiej niż „Paw”. Zdobyła sobie to miano w ciągu pierwszych pięciu minut ich znajomości, gdy bly-

skawicznie pozbyła się swojego lunchu. Prosto na mundur Sama.

Beksa i Plujka zawodziły zgodnym duetem przez prawie całą drogę z Hawajów. Gdyby nie pomoc stewardów, inni pasażerowie pewnie wyrzuciliby Sama z dziećmi przez pierwszą z brzegu służę powietrzną. Potarł twarz. Czuł się tak, jakby spędził długie godziny pod ostrzałem, bez chwili wytchnienia. Tylko zamiast kul miał do czynienia z butelkami i brudnymi pieluszkami oraz popiskiwaniami, które od czasu do czasu przechodziło w płacz.

Wyjął Bekkę z fotelika dla niemowląt i posadził ją sobie na kolanach. Przytrzymał ją swoją dużą dłonią. Popatrzyli sobie prosto w oczy.

- Posłuchaj - powiedział cicho. - Wiem, że kiepski ze mnie rodzic, ale może dałabyś mi na chwilę spokój.

Dziewczynka zagryzła dolną wargę. W kącie oka pojawiła się pojedyncza łza. Spłynęła po okrągłym policzku i zniknęła w fałdkach na szyi. Samowi ścisnęło się serce.

Zasługiwała na coś więcej. Obie zasługiwały. Powinny mieć to, co każde dziecko. Dobry dom i kochających rodziców. I jeszcze tydzień temu wszystko to miały. Nie po raz pierwszy zastanawiał się nad tym, co myślą i czują dziewczynki. Czy zdają sobie sprawę z tego, że ich rodzice odeszli na zawsze? Czy boją się tych wszystkich nowych twarzy dookoła? Czy potrafią wyczuć zagubienie Sama?

Miał nadzieję, że nie.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Zdaje się, że w końcu otworzono drzwi, bo kolejka w przejściu nagle zaczęła się

posuwać do przodu. Jeden po drugim pasażerowie opuszczali samolot. Sam zaczął zbierać rzeczy bliźniaczek. Ale zanim zdążył wstać, przy jego fotelu zatrzymał się starszy mężczyzna w pogniecionym garniturze. Facet miał wyraźnie paśkudne usposobienie.

- Pan i pańskie dzieci zepsuliście cały lot. W życiu nie musiałem znosić takich hałasów - warknął, spoglądając to na Sama, to na bliźniaczki.

Świeżo upieczony ojciec dopiero powiedział sobie w duchu to samo, ale co innego pomyśleć, a co innego usłyszeć to z ust kogoś obcego.

- Proszę pana - zaczął Sam i posłał swojemu rozmówcy spojrzenie zarezerwowane dla ślamazarnych rekrutów podczas musztry. - Każdy z pasażerów tego samolotu był kiedyś dzieckiem. Nawet pan. I każdy płakał. A jego płacz drażnił jakiegoś starego piernika.

- Starego piernika? - powtórzył mężczyzna, wyraźnie wytrącony z równowagi.

Tymczasem Beksa zachichotała. To był głęboki, gardłowy śmiech, który zdawał się mieć swoje źródło w żołądku. Sam uśmiechnął się do niej ciepło, po czym znowu spojrzał groźnie na mężczyznę w przejściu, który stał, jakby go wmurowało.

- A poza tym - dodał jeszcze w obronie swoich dzieci - te dziewczynki przeszły ostatnio przez prawdziwe piekło i mają więcej powodów do narzekań niż pan. Właśnie straciły rodziców w wypadku. Straciły dom i wszystko, co znały. Znalazły się w samolocie z obcym człowiekiem i mają sie-

dzieć cicho? Proszę pana, gdyby coś takiego przydarzyło się panu, to jestem pewien, że też by pan nieźle hałasował.

Okazało się, że mężczyzna był na tyle dobrze wychowany, by się zawstydzić. Odchrząknął i poszedł dalej. Idąca za nim kobieta zatrzymała się na moment obok Sama, uśmiechnęła do niego i rzuciła szeptem:

- Brawo!

Wszyscy pasażerowie już zeszli z pokładu samolotu. Został tylko Sam z dziewczynkami, które, w ciągu jednej nocy, zostały jego córkami.

Niech Bóg ma je w swojej opiece.

Michelle usłyszała ich, zanim jeszcze znaleźli się w zasięgu jej wzroku. Kwilenie niosło się przez cały, długi tunel przylotów. Ruszyła w tym kierunku. Nagle zobaczyła Sama. Na każdej ręce trzymał dziecko, a przez ramię miał przerzuconą kolorową torbę na pieluszki. Wyglądał jak człowiek, który stoi na krawędzi przepaści i rozważa skok w dół.

Jej wcześniejsze wątpliwości dotyczące odnowienia znajomości z Samem w jednej chwili wyparowały pod naporem uczuć macierzyńskich. Jedno spojrzenie na te twarzązki... tak podobne do siebie... tak rozdzierająco niewinne. W jednej sekundzie kompletnie straciła dla nich głowę.

Podbiegła z wyciągniętymi ramionami. Jedno z dzieci zarzuciło jej rączki na szyję.

- Moje biedactwo - szeptała Michelle, gdy dziewczynka przytuliła się do niej, pociągając noskiem i kwiląc cicho.

Sam westchnął ciężko i powiedział:

- Chyba nigdy w życiu nie ucieszyłem się bardziej na czyjś widok.

Uklucie radości przyszło szybko, zanim zdążyła je powściągnąć. Lecz po chwili zrozumiała, że tak samo ucieszyłby go widok osiemdziesięcioletniej matrony, jeśli miałyby mu pomoc przy dzieciach.

Powtarzała sobie, że to i tak nie ma znaczenia. Przecież wcale nie chce, żeby mu na niej zależało.

- Ciężka podróż? - zapytała.

- Lepiej nie mówić - mruknął.

Michelle głaskała dziewczynkę po plecach, odruchowo ją uspokajając. Jednocześnie wpatrywała się w twarz Sama. Robił wrażenie zmęczonego.

- Och, daj spokój - powiedziała, przechylając na bok głowę. - Chcesz mi wmówić, że taki wielki, silny żołnierz piechoty morskiej nie jest w stanie poradzić sobie z dwójką małych dzieci?

Sam pokręcił głową.

- Wolałbym wrócić nad Zatokę Perską. Sam jak palec. Uzbrojony jedynie w pistolet na wodę. Wszystko, tylko nie jeszcze jeden taki lot.

Uśmiechnęła się, ale zaraz zmrużyła oczy i spoważniała. Skinęła głową.

- Najlepiej będzie, jak was zawiozę do domu.

- Och, tak - jęknął z ulgą.

Ruszył w stronę tłumu zebranego koło taśmy z bagażami. Spojrzał przez ramię na Michelle, która pospieszyła za nim i dodał:

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo marzyłem o tym, żeby znaleźć się w domu i trochę odpocząć.

- Doskonale to sobie wyobrażam - odpowiedziała.

Małe, ciepłe ciało, ciasno do niej przytulone, sprawiało, że czuła się jak w siódmym niebie. Dziewczynka przez chwilę jeszcze się wierciła, aż wreszcie wtuliła główkę w szyję Michelle, która najwyższym wysiłkiem zdusiła westchnienie rozkoszy.

Dobry Boże, nie spodziewała się, że instynkt macierzyński może być taki silny. Zobaczyła to dziecko zaledwie pięć minut temu, a już przyciskała je do serca, szeptała uspokajająco do uszka i z miejsca zakochiwała się bez pamięci..Kiepska sprawa. Przecież to nie jej dzieci. Do licha, nawet nie będzie mogła ich widywać. Ona tylko pomaga. Potem pójdzie w swoją stronę. Zniknie z życia Sama. Znowu.

Ale nie wiedzieć czemu zdrowy rozsądek całego świata nie mógł się mierzyć z jej emocjami. Chciała trzymać te dziewczynki w ramionach. Chciała obdarzyć je miłością. Spróbować wynagrodzić im stratę, jaką poniosły. I cieszyć się tym, co nigdy nie było jej dane.

- Słuchasz mnie?

Pytanie Sama wyrwało Michelle z głębokiego zamyślenia. Aż podskoczyła.

- Co?

Pokręcił głową i posłał jej słaby uśmiech.

- Znowu się rozmarzyłaś?

- Coś w tym rodzaju - przyznała, choć za nic w świecie nie powiedziałaaby mu, czego dotyczyły jej marzenia.

Zgiełk ruchliwego terminalu zdawał się cichnąć, gdy spoj-
rzał jej w oczy. Michelle poczuła, że ta znajoma, zielona toń
wciągają coraz głębiej. A niech to.

- Są na tym świecie rzeczy stałe i niezmiennie, niepra-
wdaż?

- Co masz na myśli? - zapytała i omal się nie potknęła,
bo dopiero w ostatniej chwili oderwała od niego wzrok.

- Zawsze miałaś skłonność do bujania w obłokach.

- Bujania w obłokach?

- Tak - odparł Sam z uśmiechem. - Rozmawialiśmy
o czymś i nagle twoje oczy robiły się zamglone i rozmarzo-
ne. Ani się spostrzegłem, a już byłaś w innym świecie.

Nie bardzo wiedziała, co na to powiedzieć, więc za-
chowała milczenie. I tylko dzięki temu usłyszała jego mruk-
nięcie:

- Bardzo za tym tęskniłem.

Gardło się jej ścisnęło, w żołądku zawirowało. Ona też za
nim tęskniła. Nie było łatwo powiedzieć „nie” na oświadczy-
ny Sama. Szczerze mówiąc fakt, że pozwoliła mu od siebie
odejść, był najtrudniejszą rzeczą w jej życiu. Ale była w pełni
przekonana, że postępuje słusznie. Że tak będzie lepiej i dla
niego, i dla niej.

Mniej więcej rok później wyszła za Williama. Nie kochała
go tak, jak kochała Sama, ale to był życzliwy, dobry czło-
wiek. Gdy w dwa lata po ślubie zmarł, Michelle wróciła do
panieńskiego nazwiska i porzuciła wszelkie myśli o założe-
niu rodziny. Są ludzie, powtarzała sobie, którym to po prostu
nie jest pisane.

Chociaż teraz, dziesięć lat po rozstaniu z Samem, niczego nie była już pewna.

Stali w ogonku po odbiór bagażu, oboje zatopieni we wspomnieniach. Gdy w końcu przyszła ich kolej, większość toreb została już zabrana. Na taśmie był jeszcze praktycznie tylko worek marynarski w morskim odcieniu zieleni. Gdy Sam się po niego schylił, torba z pieluszkami opadła do przodu i uderzyła go w twarz.

- Daj mi to - powiedziała Michelle i sięgnęła po żółto-pomarańczową torbę w kwiaty.

- To ciężkie - ostrzegł ją.

- Jestem dużą dziewczynką - odparła.

- A, rzeczywiście - mruknął niewyraźnie, celowo patrząc w inną stronę. - Zauważyłem.

A potem, każde obciążone torbą i dzieckiem, wyszli na parking.

Szeroka, cienista aleja otworzyła się przed nim zapraszająco. Słońce powoli zbliżało się do linii horyzontu. Sam zaparkował na podjeździe. Tylko parę dni, pomyślał. Nie było go zaledwie parę dni, a ledwie rozpoznawał to miejsce.

Kwiaty rosnące wzdłuż podjazdu przycięto, trawę skosowano, krzewy przyszczyżono. Para wiklinowych foteli poniewierających się dotąd po garażu, została pomalowana na białą i ustawiona na werandzie. Z krokwi nad werandą zwieszał się bluszcz.

Powinien się tego spodziewać. Michelle nigdy nie lubiła siedzieć z założonymi rękami. Gdyby jej dać dziesięć minut

i dobry pędzel, zabrałaby się do poprawiania Kaplicy Sykstyńskiej.

Sam pokręcił głową, a potem odwrócił się wolno i spojrział na nią.

- Widzę, że się nie nudziłaś - stwierdził dość oschle.

- No cóż... - Pomachała w stronę domu. - Pomyślałam sobie, że...

- Że dom potrzebuje pomocy nie mniej, niż ja? - dokończył za nią.

- Nie miałam żadnych ukrytych intencji - broniła się.

- Ja tylko poprawiłam parę rzeczy.

- I pomalowałaś, i posadziłaś kwiatki, i... co jeszcze, do licha?

Zacisnęła wargi. Znał ten błysk zniecierpliwienia w oczach. Zdaje się, że czas wcale nie złagodził jej temperamentu.

- Posłuchaj - zgrzytnęła zębami, otwierając drzwi samochodu ze swojej strony. - Jeśli ci się nie podoba, to zawsze możesz wrócić do poprzedniego stanu.

Złapał ją za ramię, zanim zdążyła wyslizgnąć się na zewnątrz. Poczul fałę gorąca. Tym razem jej nie puścił. Rozkoszował się samym dotykiem. Minęło tak dużo czasu. Za dużo. Tak długo niczego nie czuł.

Próbował zatracić się w innych kobietach. Próbował znaleźć w nich to, co łączyło go z Michelle. Nigdy mu się nie powiodło. Nikt nie działał na niego tak, jak ona.

Boże, ależ on uwielbiał jej dotykać. Jej ręce, jej twarz, jej włosy. Aż za dobrze pamiętał krzywizny jej ciała. I rwany

oddech, gdy się z nią kochał. Zawsze marzył tylko o tym, żeby na nią patrzeć, kochać ją, trzymać ją w ramionach. I wtedy popełnił błąd. Poprosił ją o rękę, a ona kazała mu się wynosić.

No cóż, to by było na tyle w kwestii wspomnień. Żar w środku powoli ustępował.

Puścił ją i otworzył drzwi auta ze swojej strony. Lecz zanim wysiadł, oznajmił szorstko:

- Nie powiedziałem, że mi się nie podoba.

- A co powiedziałeś? - zapytała, po czym wysiadła z samochodu.

Oparła rękę na dachu sedana i spojrzała na niego. Czekwała na odpowiedź.

- Powiedziałem tylko, że znalazłaś sobie zajęcie - powtórzył Sam i spojrzał jej prosto w oczy. - Nikt tego od ciebie nie oczekiwał, Michelle. Umówiliśmy się, że przygotujesz dom na przyjęcie dzieci. To wszystko.

W mgnieniu oka jej mina zmieniła się z zaczepki w zażenowanie. Potem wzruszyła ramionami i powiedziała:

- Zostało mi nieco czasu i... - Zamilkła i westchnęła.

Niecierpliwie przeczesła dłonią swoje gęste, czarne włosy.

- Przepraszam. Trochę... trochę mnie poniosło.

Sama aż świerbiło, żeby zanurzyć palce w tych miękkich, jedwabistych włosach. Chciał poczuć znowu ich dotyk na skórze. A ponieważ to pragnienie było takie silne i takie przejmujące, zapragnął też, żeby i ona to poczuła.

- Poniosło cię? Gdzieś już to kiedyś słyszałem...

Zgodnie z jego oczekiwaniami, wspomnienie natychmiast

położyło się cieniem na jej rysach. Silny rumieniec zabarwił jej szyję, a potem policzki. Wyprostowała się, odsunęła od samochodu i za wszelką cenę starała się nie patrzeć na niego.

- Ależ tak, teraz już sobie przypominam.

Sam udawał, że odgrzebuje z pamięci jakieś zatarte wydarzenia, choć w rzeczywistości musiałby chyba leżeć z pięćdziesiąt lat w grobie, żeby zapomnieć o czymkolwiek, co było związane z Michelle.

- Siedzieliśmy w ostatnim rzędzie kina...

- Sam...

Posłała mu pełne paniki spojrzenie i wsunęła za ucho długi kosmyk włosów, który opadł jej na oczy.

W jej wzroku dostrzegł błaganie. Chciała, żeby zamilkł. I może właśnie dlatego nie mógł tego zrobić. Milczał przez całą dekadę. Dziesięć lat nie dzielił się z nikim swoimi wspomnieniami. No, cóż, starczy tego dobrego. Niech ona się dowie. Niech sobie zda sprawę z tego, że on niczego nie zapomniał.

- To był jeden z tych nocnych pokazów. Wyświetlano stary, czarno-biały film z lat trzydziestych...

Kiwnął głową i zapatrzył się w przestrzeń. Widział i czuł wszystko tak, jak wtedy. Zresztą to wspomnienie wracało do niego wielokrotnie w ciągu tych lat. Spokojne sąsiedztwo zniknęło. Znowu był na pogrążonej w ciemnościach widowni kina i całował się z Michelle.

- Mieliśmy całe kino dla siebie...

- Powinniśmy zanieść dziewczynki do domu, nie uważasz? - zapytała Michelle. Mówiła przez ściśnięte gardło.

- Światła i cienie migotały na twojej twarzy - ciągnął dalej. - Nie wiem, po co wydawaliśmy pieniądze na bilety. I tak nie oglądaliśmy filmu.

- Sam...-powiedziała Michelle.

W jej głosie usłyszał echo swojego własnego głodu. Lecz teraz już nie mógł się zatrzymać. I, prawdę mówiąc, wcale tego nie chciał.

Spojrzał jej prosto w oczy. Fiołkowy odcień jej tęczywek zdawał się płonąć żywym ogniem. Poczul ucisk w piersi. Serce łomotało mu jak oszalałe. Ani na moment nie przestawał mówić. Zależało mu na tym, by pobudzić jej pamięć. Chciał sprawdzić, czy wspomnienia potrafią rozpalić ją równie mocno, jak jego. Musiał się dowiedzieć, czy rozstała się z nim łatwo i bez bólu.

Zwrócił twarz w stronę chłodnej bryzy, ale to nie ugasiło żaru, jaki czuł w środku.

- Pieściłem cię. Musiałem czuć dotyk twojej skóry.

Na ułamek sekundy zamknęła oczy, zachwiała się i oparła o samochód.

- Nie rób tego, proszę - wyszeptwała z trudem. - Ani sobie, ani mnie.

Prosiła jednak bez przekonania. Dobrze widział, jak przyspiesza jej oddech, jak coraz szybciej pulsuje tętno. A potem otworzyła oczy. Sam, nie spuszczaając z niej wzroku, ciągnął dalej:

- Ty mnie też pragnęłaś, Michelle. Pamiętasz?

Kiwnęła mocno głową.

- Pamiętam.

- Wtedy, w ciemnościach, usiadłaś mi okrakiem na kolanach.

- Sam, proszę cię...

Położyła obie dłonie płasko na dachu samochodu. Przełknęła ślinę na wspomnienie tamtej chwili.

- Kochaliśmy się, Michelle. W tej migoczącej poświacie. W kinie, sami w ciemnościach. Kochałaś się ze mną tak namiętnie, że zapomniałem, jak się nazywam. Kochałaś się ze mną tak, że nie myślałem nawet o tym, czy mam czym oddychać. Liczyłaś się tylko ty. I to, że jesteśmy razem. Że się kochamy.

- Och, nie...

Jej oczy się zaszklily. Sam cały się napiął. Miał wrażenie, że zaraz wybuchnie. Pamiętała. Pamiętała wszystko doskonale.

- A potem... - ciągnął dalej przez ściśnięte gardło. Za wszelką cenę chciał to doprowadzić do końca. - Siedzieliśmy wtuleni w siebie, drżący. Pamiętasz, co wtedy powiedziałaś?

Minęła dłuższa chwila, zanim w końcu kiwnęła głową i przełknęła ślinę. Spojrzała mu prosto w oczy i wyszeptła:

- Powiedziałam: „Przepraszam, Sam. Chyba trochę mnie poniosło”.

Poczuł ucisk w żołądku. Tak naprawdę kogo on chce ukarać, otwierając tę puszkę Pandory? Lecz i tak było już za późno, żeby się cofnąć.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Michelle wzięła długi, głęboki wdech. Starła się zignorować trzepotanie serca. Miała wrażenie, że całe jej ciało promienieje. Żyje. Rozpala się do czerwoności na samo wspomnienie tamtych doznań i ze wszystkich sił domaga się powtórki.

Weź się w garść, powtarzała sobie w duchu. To było dawno temu. Wszystko wyglądało wtedy inaczej. Ona sama była inna. Była młoda i tak zakochana, że świata poza Samem nie widziała. Myślała tylko o tym, kiedy znowu spędzą razem noc. Nie martwiła się. Nie interesowała jej przyszłość. Do chwili gdy poprosił ją o rękę. Gdy zaproponował, by założyła z nim rodzinę. I wtedy... Cóż, po co do tego wracać?

Zmieniła pozycję. Nachyliła się i popatrzyła na dzieci, które nadal siedziały w swoich fotelikach.

- Śpią - powiedział Sam, czym znowu ściągnął na siebie jej uwagę. - A nawet gdyby nie spały, nie mogłyby nas zrozumieć.

- Dlaczego to robisz? - zapytała cicho i, na szczęście, opanowanym głosem.

Było to niezłym dokonaniem, biorąc pod uwagę fakt, że jej ciałem wstrząsały dreszcze.

- Co? - zapytał, wzruszając ramionami.

- Przestań - warknęła i posłała mu spojrzenie, które kogoś innego mogłoby położyć trupem. - Doskonale wiesz, co mam na myśli.

- Wspominam stare, dobre czasy?

Sam Pearce, który starał się robić niewinne wrażenie, wyglądał niemal tak przekonująco, jak diabeł paradujący w aureoli. To absurd. Michelle nie pozwoli wciągnąć się we wspomnienie. I nie będzie przepraszać za to, co zrobiła.

Nie będzie się też wstydzić ani żałować niczego, do czego ją i Sama pchnęła miłość.

- Chcesz mnie zranić? - zapytała cicho, nie spuszczając z niego wzroku.

- Boże broń! W żadnym wypadku - odpowiedział i przejechał dłonią po głowie.

W najmniejszym nawet stopniu nie wpłynęło to na jego wysoko podgoloną, wojskową fryzurę.

- Więc o co ci chodzi? - domagała się odpowiedzi. - Czemu to robisz?

- Och - powiedział wyrzucając ręce w powietrze, a potem opuszczając je w dół. - Zawsze musi być jakiś powód? No więc, chyba chciałem, żebyś to sobie przypomiała.

- A myślisz, że mogłabym zapomnieć? - zapytała kompletnie oniemiała.

Na litość boską, czy on naprawdę wierzył, że była w stanie zapomnieć o choćby jednej spędzonej z nim chwili? Nawet małżeństwo z innym mężczyzną nie wymazało z jej pamięci Sama.

- A co niby mam myśleć? - mruknął, opierając ręce na dachu samochodu. Złożył dłonie i wbił w nią ciężki wzrok.
- Dziesięć lat temu wyrzuciłaś mnie za drzwi. Teraz wpadamy na siebie i ty się chcesz „zaprzyjaźnić”. Liczysz na to, że się z tym pogodzę?

- To ty powiedziałaś, że powinniśmy zacząć wszystko od nowa - przypomniała mu. - To ty nie chciałeś wracać do przeszłości.

- Zmieniłem zdanie.

- Co ty powiesz? Ja też zmieniałam zdanie.

Idiotka, idiotka, idiotka. Powtarzała to w myślach, zatrzaśniętą drzwiami samochodu.

- Niech cię licho, Michelle - powiedział.

Szarpnęła głowę do góry i spiorunowała go wzrokiem.

- Nie waż się mnie przeklinać. Nie masz prawa.

Wciągnął powietrze do płuc i wypuścił je pośpiesznie.

- Doskonale. Masz rację, nie mam prawa. Ale mam ochotę.

- Co ty powiesz? - kiwnęła głową. - To cudownie. Jestem ci bardzo wdzięczna. Zrobiło mi się teraz tak miło na duszy.

- A co chciałaś usłyszeć? - syknął, sięgając do dźwigni otwierającej bagażnik. - „Ogromnie się cieszę, że cię widzę”? Albo może: „Masz ochotę znowu złamać mi serce”?

- Chciałam ci tylko pomóc przy dzieciach.

- Czemu?

- Co?

- Zapytałem: czemu?

Zamilkł i wbił w nią wzrok. Jej sięgające do ramion czar-

ne loki rozwiewał wiatr. Tyle czasu minęło. Był ciekaw, czy jej włosy nadal pachną kokosem. Och, przecież to nie ma znaczenia. Ona nie jest już częścią jego życia.

- Dlaczego pomogłaś mi urządzić dom na przyjęcie bliźniaczek? Czemu to robisz? Gdy cię wcześniej o to pytałem, wymigałaś się od odpowiedzi. Czy powoduje tobą litość? Chciałbym to wiedzieć.

- Ja też bym chciała - powiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszał, nim jej słowa porwał wiatr. Potem odchrząknęła, spojrzała mu prosto w oczy i zapytała: - Proponuję, żebyśmy zajęli się teraz dziećmi i przerwali rozmowę na ten temat. Czy koniecznie musimy o tym dyskutować w tej chwili?

Tak, musimy, miał ochotę krzyknąć. Chciał zmusić ją do odpowiedzi. Chciał się też dowiedzieć, co dziesięć lat temu poszło między nimi nie tak, poznać powód, dla którego bez zastanowienia odrzuciła jego oświadczenia. Fakt, że nadal go to obchodzi, wściekle Sama irytował.

Powinno mu to być już obojętne. Po zerwaniu z Michelle nie wstąpił przecież do zakonu. Wręcz przeciwnie. Nie odpuścił żadnej napotkanej kobiecie. Umawiał się na randki, uprawiał seks i zaraz potem o tym zapominał. Żadna z tych kobiet nie była dla niego choć w części tak ważna, jak Michelle.

Bo ona otworzyła przed nim drzwi do marzeń o rodzinie, domu, miłości... a potem zatrzasnęła mu je przed nosem. Ból, który uważał za dawno pogrzebany, znowu odżył. Poczł tak silne ukłucie w sercu, że prawie się skrzywił.

Wielokrotnie planował, co powie lub zrobi, gdyby ją kie-

dyś znowu spotkał. O dziwo, gdy to nastąpiło, zapomniał o wszystkim.

Tamtego dnia, w sklepie, zbyt przerażony bliskim przyjazdem dzieci, nie zastanawiał się nad tym, co dla niego oznacza ponowne spotkanie z Michelle. Lecz dzisiaj było zupełnie inaczej.

Gdy wysiadł z samolotu i ją zobaczył, wróciły dawne fantazje. Kiedyś niezliczoną ilość razy wyobrażał sobie taką scenę. On wraca do domu z manewrów, Michelle czeka na niego na lotnisku. Uśmiecha się z daleka. W wyobraźni widział nawet koło niej dwójkę dzieci, które podskakiwały z radości, że zaraz zobaczą tatę.

I choć dzisiaj to on był z dziećmi, scena tak bardzo przypominała jego marzenia, że ledwie się powstrzymał przed porwaniem jej w ramiona.

- Sam?

Zamrugnął i spojrzał na nią. Naprawdę na nią spojrzał, widział taką, jaka była teraz, a nie przez pryzmat wspomnień. Szczuplejsza, niż pamiętał, z kilkoma zmarszczkami w kącikach fioletowych oczu. Wyglądała jeszcze piękniej. A on pragnął jej bardziej niż wszystkiego innego na świecie.

Jakoś sobie z tym poradzi. W końcu już się przyzwyczaił, że nie zawsze dostaje to, czego chce.

- Nie - powiedział głosem zduszonym od emocji, do których nie chciał się przyznać. - Nie musimy o tym rozmawiać.

W jej oczach błysnęła wyraźna ulga. Lecz gdy się nachyliła nad bliźniaczkami, Sam dodał:

- W tej chwili.

Wewnątrz domu też się najwyraźniej nie leniła, stwierdził Sam, przyglądając się znajomym dotąd pomieszczeniom. Każdy mebel został wypolerowany tak dokładnie, że popołudniowe słońce wpadające zza okien odbijało się od drewnianych powierzchni. Kanapa wzbogaciła się o dodatkowe poduszki. A na domiar wszystkiego z kuchni dochodził zapach duszonego na wolnym ogniu kurczaka, co podrażniło pusty żołądek Sama.

Szedł za Michelle. Był jak obcy we własnym domu. Natomiast ona najwyraźniej czuła się tu jak u siebie. Zaprowadziła go do pokoju gościnnego, w którym zamierzał urządzić dziecinny. Zamurowało go w progę.

W ciągu krótkich trzech dni zamieniła to pomieszczenie w pokój z dziecięcych marzeń. Łóżeczka ustawiła obok siebie, żeby dziewczynki się nawzajem widziały. Między nimi znajdował się biały stolik, na którym stała lampa i leżały dwie czy trzy książeczki. Obok umieściła fotel bujany. Oczami wyobraźni widział, jak ktoś się w nim wygodnie rozsiada i opowiada dzieciom bajki.

Sufit był bladobłękitny, z kilkoma białymi chmurkami rzuconymi na to tło. Niebo schodziło aż do połowy ścian. Poniżej Michelle namalowała biały płótek. Czerwone, żółte i pomarańczowe kwiaty wyglądały spomiędzy sztachet, dzięki czemu pokój robił wrażenie ogrodu. Były tu jeszcze dwie komody i przewijarka.

Na Boga, ciekawe, co by zrobiła z tym pokojem, gdyby miała tydzień, pomyślał Sam.

Wolno obrócił się i spojrzął na nią z nieukrywanym za-

chwytem. Robiła wrażenie zdenerwowanej. Chyba nie była pewna jego reakcji. Bała się, że posunęła się za daleko?

- Niesamowite - stwierdził, obchodząc pokój dookoła i podziwiając jej dzieło z różnych miejsc.

- Podoba ci się? - zapytała z wyraźną ulgą.

- A czy to się może nie podobać?

Posadził Plujkę w jednym z łóžeczek. Dziewczynka natychmiast złapała miękką, pluszową owieczkę, która leżała obok, i wgrzyła się w jej ucho. Była głodna. Pewnie, przecież zwymiotowała wszystko, co dzisiaj zjadła.

- Coś mi się zdaje, że pracowałeś dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Wzruszyła lekceważąco ramionami.

- Nie uważasz, że trochę przesadziłam? - zapytała Michelle, przyglądając się malowidłom na ścianach i suficie.

- Chyba trochę mnie ponio... - zamilkła i spojrzała na niego niepewnie.

Coś w nim znowu drgnęło. A niech to diabli. Nie wolno mu znowu pójść tą ścieżką.

Więc zamiast jakiejś dowcipnej uwagi, powiedział tylko:

- Dziękuję. Jestem ci bardzo wdzięczny.

Na jej twarzy odmalowała się ulga. Zrozumiała sygnał. Mogli rozmawiać o wszystkim, tylko nie o tym, co kiedyś ich łączyło.

- Cała przyjemność po mojej stronie - oznajmiła. - Jeśli chcesz, mogę zostać jeszcze trochę, żeby pomóc ci je nakarmić i położyć spać.

Wiedział dobrze, że powinien odmówić. Najlepiej by by-

ło, gdyby poszła sobie do domu. Natychmiast. Dopóki jeszcze był gotów ją puścić.

- Byłoby miło - powiedział jednak.

A Michelle się do niego uśmiechnęła. W odpowiedzi na to przeszył go dreszcz od stóp do głów. Od razu się zorientował, że popełnił kolejny błąd.

Tymczasem ona zajęła się jedną z dziewczynek. Nachyliła się nad nią w łóżeczku. Spojrzała przez ramię na Sama i powiedziała:

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak one mają na imię.

Sam z trudem oderwał wzrok od jej ponętnego ciała. Przystań, powtarzał sobie w myślach. Przystań się torturować. Umyślnie odwrócił się tyłem do obrazu, jaki tworzyła pochylając się nad łóżeczkiem Beksy.

- Marie i Beth - odpowiedział na jej pytanie.

- Która jest która?

- Tu mnie masz.

- Co? - Michelle się wyprostowała, obróciła na pięcie i spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Chcesz powiedzieć, że ich nie rozróżniasz?

Popatrzył na nią, a potem zaczął się bronić.

- Sama im się przyjrzyj. Są jak dwie krople wody.

Michelle popatrzyła na dziewczynki. Miękkie, czarne włoski, dołki w policzkach, wielkie, niebieskie oczy. Rzeczywiście, były identyczne. Ale nie można ich mylić.

- Musisz je jakoś odróżniać.

- Wiem. - Nachmurzył się, po czym dodał: - Mam swój system. Przynajmniej na jakiś czas.

- Tak? A cóż to za system?

Wyprostował się i potarł dłonią policzek, na którym już kładł się ciemny cień zarostu.

- Zdejmij buty - rozkazał szorstko.

Michelle gapiała się na niego w osłupieniu, usiłując cokolwiek zrozumieć.

- Zdejmij Beksie buty. Zdejmij je.

- Nazywasz ją Beksą?

- To przezwisko do niej pasuje - powiedział, gdy dziewczynka zaczęła się zbierać do kolejnego wybuchu płaczu.

- Nie uważasz?

Michelle odruchowo schyliła się nad łóżeczkiem i poklepała dziecko po plecach.

- A jak nazywasz drugą?

- Plujka.

- Sam!

Zbulwersowana Michelle spojrzała na słodką twarzyczkę dziecka w drugim łóżeczku.

- Gdybyś mogła zobaczyć, co zrobiła z moim mundurem, to byś się tak nie dziwiła. Posłuchaj - ciągnął dalej Sam, podczas gdy Michelle mierzyła go wzrokiem, z którego jasno wynikało, że należałoby go postawić pod ścianą i rozstrzelać.

- Ta cała sytuacja to dla mnie nowość. Żeby sprawdzić, która jest która, trzeba im zdjąć buty.

Szepcząc pod nosem coś o mężczyznach neandertalczykach i ich głupocie, Michelle pochyliła się znowu nad łóżeczkiem i rozwiązała sznurowadła mikroskopijnych bucików. Gdy je zsunęła, zachwycone dziecko zaczęło wierzgać tak

energicznie, że miała trudności ze złapaniem małych stopek i zdjęciem z nich różowych skarpetek.

W końcu się jej udało. Teraz wpatrywała się zafascynowana w podeszwy stóp. Pokręciła z niedowierzaniem głową.

Trudno było nie podziwiać pomysłowości Sama, nawet jeśli nie do końca jej się podobała sama idea.

- No i? - zapytał Sam. - Którą masz?

Michelle złapała jedną z małych stopek i odczytała imię wypisane na niej czarnym flamastrem.

-To Beth.

- Aha - powiedział, spoglądając w stronę Plujki. - W takim razie ty jesteś Marie.

Michelle zachichotała.

- Nie mogę uwierzyć, że po prostu wypisałeś im imiona na stopach.

- A jak inaczej miałem zapamiętać, która jest która?

- Och, nie wiem, może przyjrzeć się im uważnie? Poszukać subtelnych różnic?

- Łatwo ci mówić - mruknął Sam i zaczął rozbierać Marie. - Przyleciałem na Hawaje, spotkałem się z kimś z opieki społecznej, udzielono mi krótkich instrukcji, wręczono torbę z pieluszkami i odesłano do domu. Nie bardzo miałem czas na szukanie „subtelnych różnic”.

- Ale żeby od razu pisać im na stopkach?

Michelle pokręciła głową, zbulwersowana, a jednocześnie zafascynowana sposobem, w jaki rozwiązał problem.

- Ludzie z opieki społecznej przypięli im karteczki z imionami do śpioszki - mruknął. - Jakby były uchodźcami cze-

kającymi na deportację. Uznałem, że mój sposób jest lepszy. Przynajmniej nikt poza mną nie oglądał ich nówek.

Delikatne ukłucie sprawiło, że oczy Michelle się zaszkliły. Sam Pearce może sobie udawać twardziela, ale tak naprawdę ma miękkie serce. I, nawet jeśli sam sobie jeszcze z tego nie zdaje sprawy, te dzieci już go wzięły we władanie, i to bez reszty.

Michelle zawsze wiedziała, że Sam jest doskonałym materiałem na ojca. Nawet dziesięć lat temu, gdy oboje byli tacy młodzi, instynktownie to wyczuwała. Pamiętała te długie rozmowy, podczas których opowiadał jej o domu pełnym dzieci, jaki chciałby w przyszłości mieć. I o tym, jak dobrze będzie im razem. Chciał mieć rodzinę. Teraz to marzenie się spełniło. Nie tylko okazało się, że jest członkiem jednego z najpotężniejszych rodów w Teksasie, ale jeszcze został ojcem.

A Michelle nie była częścią jego - ich - życia.

Była tylko przyjaciółką, która pospieszyła z pomocą w trudnej chwili. Czy to wystarczy? Czy może wystarczyć?

Gdy dzieci były już wykąpane, nakarmione i leżały w łóżeczkach, stary dom uspokoił się niczym ukontentowana matrona. Fundamenty skrzypiały cicho, przygotowując się do snu. W uszach siedzącej na kanapie pary te dźwięki brzmiały miło, kojąco.

Powinam była pójść do domu godzinę temu, pomyślała Michelle. Ale nie poszła. Zamiast tego zjadła kolację z Samem. Podczas rozmowy ostrożnie omijali zakazany temat.

Teraz, gdy naczynia były już pozmywane, a dom pogrążony w ciszy, wiedziała dobrze, że powinna złapać torebkę i zwinąć stąd jak najszybciej. Lecz nie potrafiła się zmusić do pożegnania. Gdy opuści ten dom, nie będzie miała pretekstu, żeby tu wrócić. W końcu to nie ona była odpowiedzialna za dzieci. Nie mogła sobie rościć do nich praw. Nie mogła oczekiwać, że Sam pozwoli jej tu przychodzić, trzymać je na rękach, bawić się z nimi.

Tak samo, jak nie miała prawa być blisko Sama. Spojrzała na niego. Pochylał się właśnie nad kominkiem i rozpałał ogień, który skutecznie zmagął się ze styczniowym chłodem. Jego dłonie, zręczne i silne, wprawnie ułożyły na żelaznym ruszcie gałązki na rozpałkę, a potem cięższe szczapy. Gdy zapalił kawałek gazety wsunięty pod drewno, migotliwe światło załało jego rysy. Serce podskoczyło Michelle w pierśsiach. Znowu zaczynała się przyzwyczajać do jego obecności.

Zawsze tak na niego reagowała. Od chwili, gdy go zobaczyła po raz pierwszy, Sam Pearce działał na nią, jak nikt inny. Gdy ją całował, powietrze aż trzaskało od ładunków elektrycznych.

Lecz magia i elektryczność to za mało, prawda? Wcześniej czy później świat realny musi się wedrzeć nawet do najpiękniejszej fantazji.

Ogień z sykiem pożerał drewno. Sam odwrócił się od kominka. Przez chwilę wpatrywał się w nią intensywnie. Próbowwała rozszyfrować jego minę, wyraz oczu, ale było za ciemno. A może tak naprawdę nie chciała wiedzieć, co mu

chodzi po głowie? Może najlepiej by było, gdyby żadne z nich nie zastanawiało się specjalnie nad tym, co się dzieje.

- Tęskniłem za tobą, Michelle - powiedział cicho.

Och, nie. Gardło się jej ścisnęło. Z trudem przełknęła rosnącą gulę. Miała wrażenie, że połyka jakieś ohydne lekarstwo.

- Sam...

Przesunęła się na brzeg kanapy i zaczęła się rozglądać za swoją torebką. Natychmiast, wołał jakiś głos w jej głowie. Natychmiast stąd wyjdź.

A wtedy on wyciągnął do niej rękę. Miała jeszcze wybór. Mogła zachować się rozsądnie, wstać i wyjść... albo mogła podać mu dłoń i zapomnieć, na tę jedną noc zapomnieć o utraconych latach. Zapomnieć o jutrze i nieuniknionym pożegnaniu. Przez tę jedną noc mogła tulić się do niego i udawać, że Sam wciąż należy do niej.

- Michelle?

Odetchnęła głęboko i podała mu dłoń.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ich palce się splotły. Po raz pierwszy od lat Sam poczuł się... dopelniony. Ta myśl powinna go przerazić, bo wynikało z niej jasno, że jego emocje ciągną go z powrotem w związek, który nie ma szans powodzenia. Z tego nie wyniknie nic dobrego. Nic stałego. Nic, na czym można by zbudować życie.

Za dużo mieli za sobą. Zbyt wiele bolesnych wspomnień. Zawiedzione zaufanie. Zdrada. To, od czego teraz aż skwierczało powietrze, to tylko skradziona chwila, moment wyrwany z codzienności.

Wpatrywał się w fiołkowe oczy, w których skrzył się odblask ognia. Nagle sobie uświadomił, że to wystarczy. Że nic więcej nie trzeba. I że nie pozwoli jej odejść. Musi jeszcze doświadczyć tej magii. Przynajmniej raz.

Pociągnął ją z kanapy. Poleciała w jego ramiona. Jego usta żarłocznie wpiły się w jej wargi. Opanowało ich istne szaleństwo. Wylądowali na dywanie przed ceglanym kominem. Trzaskanie płomieni zdawało się odbijać echem w jego żyłach. Płonął w środku. Chciał więcej. Dużo, dużo więcej.

Ona również. Domyślił się tego z jej reakcji. Z tego, jak ciasno jej ręce obejmowały go za szyję, jak gorączkowo przywarła do niego całym ciałem.

Całował ją tak, jakby dokonywał najazdu na terytorium wroga. Jej westchnienia sprawiały, że jego głód rósł, a ciało niemal huczało od napięcia elektrycznego.

Odrzucił głowę w tył i spojrzał na nią, a ona wyszeptała:

- Co my robimy, Sam?

- Jediną rzecz, jaka nam pozostała, Michelle - odparł, a po chwili dodał: - Muszę cię dotykać. Muszę.

- O, tak - odpowiedziała i przełknęła ślinę. - Ja też. Tak bardzo.

Dłoń Sama znalazła się przy guzikach bluzki Michelle. Rozpinał je jeden po drugim. Kilka sekund później ona odrzuciła głowę w tył, poddając się jego pieszczotom.

Składał gorące pocałunki na jej szyi i dekolcie, aż po koronkową granicę stanika. Michelle oddychała nierówno. Wygięła się w łuk, a potem położyła dłoń na jego dłoni i przycisnęła ją jeszcze mocniej do siebie, jakby bała się, że zniknie. Ale Sam nie zamierzał nigdzie iść. W tej chwili nie było miejsca na świecie, w którym chciałby być bardziej, niż tu, z nią. Wyobrażał sobie ten moment, marzył o nim od tak dawna, że teraz czuł się tym niemal przytłoczony.

Przeplótł palce przez jej palce, przeniósł jej rękę ponad głowę i przycisnął ją do podłogi. A potem zaczął pieścić jej delikatną skórę językiem. Zadrżała i zacieśniła uścisk.

- Sam - wyszeptała łamiącym się głosem. - Pragnę cię. Teraz, błagam.

- Ja też cię pragnę, skarbie - odpowiedział.

Trzy godziny później Michelle jęknęła i usiadła. Zaparzyła się w dopalający się ogień w kominku.

- To była pomyłka - powiedziała cicho.

Sam poruszył się, a potem uniósł i oparł na łokciu.

- Za którym razem? - zapytał.

Spojrzała na niego przez ramię, starając się zwalczyć kolejną falę pożądania, która zaczynała rozpalać krew w jej żyłach.

Dobry Boże. Zrobili to już trzy razy. Kiedy będą mieli dość?

Potarł dłonią kark, a ona z rozkoszą przyglądała się grze mięśni na jego torsie. Zaszło jej w ustach. Najwyraźniej nigdy się nim nie nasyci.

I to był jeszcze jeden powód, dla którego to w ogóle nie powinno mieć miejsca.

- Może należałoby zajrzeć do dziewczynek?

- Dopiero co to zrobiliśmy. Zmieniasz temat. Za którym razem to była pomyłka?

- Za każdym - odpowiedziała.

- Nie odniosłem wrażenia, że miałaś coś przeciwko temu - zauważył.

Miał rację. Musiała mu to przyznać. Nie tylko nie miała nic przeciwko temu, ale za trzecim razem właściwie to ona go zgwałciła. Biedak był już wycieńczony, ale ona siadła na nim okrakiem i obiecała, że sama się wszystkim zajmie.

Jęknęła cicho i schowała twarz w dłoniach. Tyle czasu minęło, odkąd byli razem. W głowie szalały jej różne myśli. Westchnęła na myśl o tym, ile czasu zabrało jej dojście do siebie po ich poprzednim rozstaniu. A teraz zapewniła sobie kolejną porcję cierpienia. Na litość boską, czyżby postradała

rozum? Oczywiście, odpowiedź była bardzo prosta. W ogóle nie dała rozumowi dojść do głosu. Liczyło się tylko to, co czuła. Ale jakie to były emocje!

Uniosła głowę i zapatrzyła się w ogień. Poczerniałe kawałki drewna przywarły do rusztu. Gdzieniegdzie żarzyły się czerwono, niczym oczy potępieńca. Dobre porównanie, pomyślała. Czujesz się winna, co?

To wszystko stało się wbrew jej woli. Chciała tylko być przyjacielska. Chciała pomóc.

A niech to wszyscy diabli!

- Muszę iść - powiedziała i rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu swoich rzeczy.

- No, cóż - odparł przeciągając słowa. - Tym razem poszło szybko.

Michelle zamarła. Spojrzała na niego.

- Co to ma znaczyć?

- A jak myślisz? - zapytał i również usiadł.

Musnął ją ramieniem. Od razu poczuła falę gorąca.

Zignorowała to.

- Może ty mi powiesz?

- A pewnie, powiem ci. Znowu uciekasz.

Zamurowało ją.

- Nie uciekam. Po prostu wychodzę... szybko. I co chcesz powiedzieć przez „znowu”?

- Praktycznie wyrzuciłaś mnie za drzwi, pamiętasz? Wtedy uciekałaś i teraz uciekasz.

- To nie była ucieczka - warknęła defensywnie. - Zerwaliśmy ze sobą.

- Ty zerwałaś.
- Miałam powody.

Gdzie, do licha, podziały się jej rzeczy?

- Ale nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby się nimi ze mną podzielić - przypomniał jej.

Poczuła słaby wyrzut sumienia, ale zignorowała to. Nie da się wpędzić w poczucie winy dlatego, że zrobiła coś, co należało zrobić.

- To nieistotne.

- Może dla ciebie nie - odparował. Złapał ją za ramię i zmusił do spojrzenia mu prosto w oczy. - Ale ja, gdy ktoś mi łamie serce, chciałbym znać powód.

Zrobiło się jej zimno. Dziwne, bo jeszcze parę chwil temu była rozgrzana do czerwoności. Ale to pewnie ogień w jego spojrzeniu ją rozgrzewał. Teraz w jego zielonych oczach widziała jedynie lód.

- Więc mi go zdradz - dodał, zaciskając mocniej palce na jej ramieniu.

Spojrzała w dół, na jego dłoń, a potem znowu podniosła wzrok i popatrzyła mu prosto w oczy.

- To boli.

Natychmiast ją puścił i pokręcił głową.

- Przepraszam. Nie chciałem. - Położył się na boku i sięgnął po jej stanik, który wisiał na lampie. Podał go jej.

- Ale wciąż chcę usłyszeć odpowiedź na moje pytanie. Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego ode mnie odeszłaś?

Włożyła stanik, zapięła go i nagle poczuła się bardziej naga, niż parę chwil temu. Nie chciała rozmawiać o przeszłości. Z te-

go nie mogłoby wynikać nic dobrego. A poza tym nie miała zamiaru zdradzić mu swoich powodów. To jej sprawa.

- Nie chcę o tym rozmawiać, Sam - powiedziała.

Wypatrzyła swoją bluzkę, która leżała zmięta na podłodze, częściowo ukryta pod fotelem. Wyciągnęła ją. Teraz pozostało tylko znaleźć spodnie i będzie mogła się stąd wynieść.

- Och, czemu nie powiedziałaś od razu - odparował, a w jego głosie zabrzmiał sarkazm. - Hej, jeśli Michelle nie chce o czymś gadać, to się o tym nie gada, rozumiano?

- Nie ma powodu się wyzłośliwiać.

- Bardzo cię przepraszam - warknął. - Ale nigdy nie rozumiałem etykiety obowiązującej człowieka, który właśnie kochał się namiętnie z eks-narzeczoną.

Mruknęła coś pod nosem, a on zapytał:

- Co?

- Powiedziałam - powtórzyła - że może należałoby się trzymać starej zasady, która głosi, że jeśli człowiek nie ma do powiedzenia nic miłego, to niech lepiej w ogóle nic nie mówi.

- Niezła jesteś, wiesz? - powiedział i wstał. Złapał swoje dzinsy z kanapy, wciągnął je na siebie i zapiął zamek. - Wdzierasz się z powrotem w moje życie, stawiasz je na głowie, a potem znowu znikasz.

- Sam...

- Kim ty właściwie jesteś? Wpadasz raz na dziesięć lat, żeby przewrócić wszystko do góry nogami?

- To nie w porządku - powiedziała.

- Może i nie, ale dobrze oddaje sytuację.

Po raz kolejny rozejrzała się po pokoju. Nareszcie! Gdy

włożyła spodnie, poczuła się nieco pewniej. Odsunęła włosy z twarzy i powiedziała:

- Dobrze wiesz, że tego nie planowałam.

Minęła długa chwila. Wreszcie Sam westchnął ciężko i skrzyżował ręce na piersiach. Przyznał w końcu:

- No, tak. Ja też nie.

- Więc może powinniśmy zapisać to na konto dawnych czasów i zapomnieć.

- A potrafisz? - zapytał.

Nawet z drugiego końca pokoju jego wzrok wwiercał się w nią intensywnie, badawczo.

- Muszę - odpowiedziała po prostu, po czym złapała torebkę i ruszyła do drzwi.

Sam ani drgnął.

Stała już w otwartych drzwiach, gdy zatrzymał ją jego głos.

- Michelle.

Spojrzała na niego przez ramię.

- Słucham?

- Dzięki za pomoc. Mam na myśli przygotowanie domu.

- Nie ma sprawy - zdołała z siebie wykrztusić, nim gardło zacisnęło się jej od emocji.

Po czym opuściła ten śliczny, mały domek i mężczyznę, którego zawsze kochała. Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Minęło półtora tygodnia. Sam próbował jakoś zapanować nad swoim nowym światem. Lecz bez względu na to, jak się starał, to cholerstwo cały czas chwiało się w posadach.

Zaliczył już dwie nianie, z pięć tysięcy pieluszek, pełną fiolkę aspiryny i Bóg wie ile załadowanych do pełna pralek. Doszedł do jednego wniosku.

Jak na ojca, jest świetnym żołnierzem piechoty morskiej.

Za drzwiami znikła właśnie jego ostatnia próba znormalizowania sytuacji.

- Te dzieci potrzebują dyscypliny, panie sierżancie - powiedziała niania i poprawiła swój maleńki, czarny kapelusz na czubku starannie ułożonych, siwych loków. - Bez dyscypliny świat popada w chaos.

Sam spojrzął na nią spod uniesionych brwi i powiedział:

- Chaos? Przecież one nawet jeszcze nie mówią.

Kobieta prychnęła i zasznurowała usta. Samowi stanęła przed oczami jego nauczycielka z czwartej klasy, pani Henry, istna hetera. Odniósł nieodparte wrażenie, że jego nauczycielkę i nianię sporo łączy.

A przecież dopiero co wrócił do domu i zastał obie dziewczynki wyjące wniebogłosy, podczas gdy ta „niania” siedzia-

ła sobie obojętnie w fotelu i czytała książkę. Gdy ją zapytał, dlaczego się nimi nie zajęła, stara jędza odparła na to apodyktycznie, że jeśli się weźmie płaczące dziecko na ręce, to uczy się je w ten sposób, że może płakać za każdym razem, gdy czegoś chce.

Nie widział w tym doprawdy nic dziwnego, skoro to jedyny dostępny niemowlętom sposób komunikacji. Samowi zawsze się wydawało, że tego się właśnie od małych dzieci oczekuje.

- Trzeba trzymać się zasad - dodała kobieta, wyrrywając go z zamyślenia. - Jako wojskowy zapewne jest pan to w stanie docenić.

Po czym, nie czekając na jego reakcję, obróciła się na pięcie i wymaszerowała.

Sam stwierdził w duchu, że byłby z niej lepszy generał niż niania. Nikt, kto oczekuje od dziewięciomiesięcznych dzieci trzymania się zasad, nie powinien udawać, że może się nimi zajmować.

A jednak nawet świadomość, że on i dzieci obejdą się lepiej bez niej, nie zmniejszyła rozpacz, jaka go ogarnęła, gdy patrzył za oddalającą się starszą panią. W takiej desperacji nie był od lat. Musi znaleźć kogoś, kto obdarzy te dzieci miłością, kto będzie o nie dbał i opiekował się nimi, gdy on jest w pracy.

Jego ciotka, Miranda Fortune, do której z rozpaczą zadzwonił, poleciła mu agencję wyszukującą opiekunki do dzieci. Zdawał sobie sprawę z tego, że chciała pomóc, a jednak czuł żal, że tak kiepsko się wszystko potoczyło. Pierwsza

niania sama właściwie była jeszcze dzieckiem, a druga... no cóż, też już sobie poszła.

Nie miał zamiaru dzwonić do Mirandy. Znowu będzie mu chciała pomóc, a, szczerze mówiąc, Sam nie miał ochoty zaciągać długów wdzięczności u członków swojej nowo poznanej rodziny. Potarł twarz dłonią. Sam fakt, że w ogóle do nich zadzwonił, świadczył o jego desperacji. Nie był człowiekiem, który zwykł prosić o pomoc. Normalnie sam rozwiązywał swoje problemy.

Ale z tym problemem w żaden sposób nie umiał sobie poradzić. Wrócił do domu. Minął hol i zatrzymał się w otwartych drzwiach prowadzących do pokoju dziewczynek. Oparł się ramieniem o framugę.

Obie zasnęły. Prawdopodobnie zmęczyło je to bezskuteczne domaganie się uwagi. Beks... Beth, poprawił się stanowczo, spała zwinięta w kłębuszek, ssąc kciuk. Srebrzyste ślady łez nadal lśniły na jej krągłych policzkach. Sam przeniósł wzrok na drugie dziecko. Marie rozciągnęła się w poprzek łóżeczka. Prawą ręką otoczyła pluszową owieczkę, do której już zdążyła się przywiązać.

Dzieci na niego liczą. Oczekują, że stworzy im przytulny dom. A on nie ma pojęcia, od czego zacząć. Przejechał dłonią po włosach. Skąd ma wiedzieć, czego potrzebują takie małe dziewczynki?

Beth pociągnęła parę razy noskiem przez sen. Ten cichy dźwięk ugodził go w samo serce i popchnął do zrobienia tego, czego sam sobie zabronił.

Telefon stał w salonie, na stoliku.

- Masz dwie drogi - mruknął do siebie. - Możesz się tak nadal miotać po omacku albo przełkniesz dumę i zadzwonisz do Michelle.

Do licha, przez ostatnie dziesięć dni ostatkiem sił się przed tym powstrzymywał. Obiecał sobie, że nie wróci już na tę ścieżkę. Lecz tęsknił za nią jak wszyscy diabli.

Próbował nie tęsknić. Był tak zapracowany, że powinno mu zabraknąć czasu nawet na jedną myśl o niej. Lecz jakimś sposobem zawsze była obok niego, w jego myślach. Nawiedzały go wspomnienia ich ostatniej wspólnej nocy i wizje tego, jak mogłaby wyglądać przyszłość.

Telefon do niej oznacza kolejne kłopoty. Nowe komplikacje. Przeszedł przez pokój. Podniósł słuchawkę. Powtarzał sobie, że to błąd, i równocześnie wykręcał numer.

A potem ona odebrała telefon. Na dźwięk jej głosu wszystko inne przestało się liczyć.

Michelle rzuciła się w wir pracy. Jej firma w końcu nabrała wiatru w żagle. Była teraz zajęta organizowaniem dwóch przyjęć urodzinowych, wesela i chrzcin. Nie miała czasu martwić się Samem i jego dziewczynkami.

A w każdym razie tak sobie powtarzała, gdy tylko jej myśli odrywały się od pracy i szybowwały w stronę małego domku po drugiej stronie miasta. Lecz to niespecjalnie pomagało. Była ciekawa, jak dziewczynki przyzwyczajają się do nowego miejsca. Czy Sam znalazł kogoś odpowiedzialnego do opieki nad dziećmi? Czy tęskni za nią choć w części tak szaleńczo, jak ona za nim?

Odwróciła się ze wstrętem od swojego laptopa i zamknęła go. Jak ma się skoncentrować na czterdziestych urodzinach Jonathona Murraya, gdy pod powiekami wciąż widzi twarz Sama? Wstała, obeszła kuchenny stół i wyjrzała przez okno. Prawie nie zauważyła plam słońca na trawniku trzy piętra poniżej. Nie zwróciła uwagi na zwykle zamieszanie panujące na ruchliwej ulicy.

Jej oczy zasnuła mgła i zamiast świata na zewnątrz zobaczyła twarz Sama. Niemal czuła smak jego pocałunku, dotyk jego dłoni. Cała zeszywniała.

I właśnie w tym momencie zadzwonił telefon. Wizja przysła. Nie była pewna, czy czuje wdzięczność, czy rozczarowanie.

- Dajcie mi wszyscy święty spokój - mruknęła. Kręcąc głową, podeszła do telefonu. Musi skończyć z tymi marzeniami na jawie o Samie. - Halo?

- Michelle?

Sam. Zacisnęła palce na słuchawce. Po plecach przeszedł jej dreszcz. Próbowwała go zignorować, ale szybko zrozumiała, że to bezcelowe. Ona po prostu w taki sposób na niego reaguje, więc zamiast to lekceważyć, powinna znaleźć sposób, żeby z tym jakoś żyć.

Pewnie, pewnie, pomyślała. To nie powinno być takie znowu trudne. Mniej więcej tak, jak nauka życia w płomieniach. No, dobrze, powiedziała sobie w duchu, zachowaj spokój. Bądź opanowana. Zachowuj się normalnie. Potrafisz to zrobić.

- Cześć, Sam - wydusiła z siebie i zacisnęła dłoń na

sznurze telefonicznym. - Nie spodziewałam się, że zadzwonisz.

Doskonale, pomyślała, pocierając miejsce między brwiami. To właśnie jest normalne zachowanie. A teraz zbierz siły do ataku.

- Założyłem, że z pewnością nie czekasz na telefon ode mnie - odparował Sam. - Po tym, jak uciekłeś w środku nocy...

- Uciekłam? - powtórzyła unosząc głowę i wbijając wzrok w ścianę. - Nie uciekłam. Wyszłam.

- A, tak - powiedział. - Doskonale to pamiętam. Wiem, jak było. Półtora tygodnia temu i dziesięć lat temu.

- Miałam powody, żeby od ciebie odejść dziesięć lat temu.

- Szkoda, że się nimi ze mną nie podzieliłaś.

Michelle postanowiła, że nie da się wciągnąć znowu w tę dyskusję. Nie miała ochoty bronić swojej decyzji. Czy utrata Sama nie była wystarczająco wysoką ceną?

- Posłuchaj, Sam - powiedziała ściskając kabel tak mocno, że mogłaby przerwać połączenie. - Nie muszę się przed tobą tłumaczyć.

- Już to mówiłaś.

- Więc może byś dał już temu spokój?

Westchnął. Gdy się znowu odezwał, w jego głosie brzmiało zmęczenie.

- Nie po to dzwonię.

- Więc po co? - zapytała twardo. - Nie po to, żeby się ze mną pokłócić?

Przez chwilę panowało milczenie. Usłyszała, jak bierze głęboki wdech i wypuszcza powietrze. Czekala.

- Właściwie... - zaczął wolno - to dzwonię z powodu bliźniaczek.

- Co z nimi? - zapytała, a troska o dzieci sprawila, że natychmiast zapomniala o gniewie. - Coś się stało?

- Nie, nic się nie stało. Tylko...

Kolejna pauza, a potem potok słów. Jakby bał się, że jeśli nie powie tego szybko, to w ogóle tego z siebie nie wydusi.

- Posłuchaj, Michelle. Jestem w kropce. Potrzebuję pomocy. Wiem, że nie mam prawa cię o to prosić, zwłaszcza po tym, jak rozpocząłem tę rozmowę, ale mimo to proszę cię o pomoc.

Zamrugala, odsunęła słuchawkę od ucha i przez sekundę czy dwie gapila się na nią, jakby zobaczyła ducha. Sam Pearce przyznaje, że potrzebuje pomocy? I prosi o to ją, Michelle? O matko, musi być naprawdę zdesperowany.

- Potrzebny mi ktoś, kto by się zajął dziewczynkami... Oczywiście tylko do czasu, aż znajdę kogoś na stałe.

- A co z tą firmą wyszukującą nianie? - zapytała, po czym zaraz skrzywiła się i pacnęła dłonią w czoło.

- Skąd o tym wiesz?

No, dobrze. Już się dowiedział, że miała jego i dziewczynki na oku. Co dalej? Wyznać mu, że, tylko w tym tygodniu, przejeżdżała trzy czy cztery razy jego ulicą, w nadziei że zobaczy albo jego samego, albo dzieci? Nie, postanowiła szybko. To niech lepiej pozostanie tajemnicą.

A w odpowiedzi na jego pytanie mruknęła:

- Od Mirandy.

Nie przyznała się natomiast do tego, że długo wierciła przyjaciółce dziurę w brzuchu, żeby jej o tym powiedziała. I że błagała ją na wszystkie świętości, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

- Znasz Mirandę - raczej stwierdził, niż zapytał.

- Owszem - odparła szybko i spróbowała zmienić tok rozmowy. - To co się stało z tą nianią?

- Żadna nie wypaliła.

- Żadna?

Miał więcej niż jedną opiekunkę w przeciągu niecałych dwóch tygodni?

- To długa historia - odparł i zaraz dodał: - A wszystko sprowadza się do tego, że nadal potrzebuję pomocy. Przynajmniej na jakiś czas.

- Dlaczego ja? - zapytała, choć wszystko w niej wołało, żeby się zgodziła.

- Bo bez względu na to, co między nami zaszło, darzę cię zaufaniem. Dzieci cię polubiły. - Odetchnął głęboko i dodał: - Potrzebuję cię, Michelle. Potrzebuję twojej pomocy.

Michelle zacisnęła dłoń na oparciu kuchennego krzesła. Na horyzoncie rysowały się kłopoty, powtarzała sobie. Możliwość komplikacji. Możliwość złamanego serca. A ona mimo to chciała powiedzieć „tak”. Tak bardzo pragnęła trzymać te dzieci na rękach.

Lecz... Być w tym samym domu, co Sam... Codziennie... Opała na krzesło, wzięła głęboki wdech, starając się uspokoić rozszalałe serce, i zmusiła się do odpowiedzi:

- Och, Sam, nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

- Wiem, co myślisz.
- Raczej wątpię - mruknęła, a przez głowę przemknęła jej wizja nagiego Sama, pochylającego się nad nią.

Niech to wszyscy diabli. Nie wolno jej tam wrócić. Nie może sobie pozwolić na wplątanie się w namiętny romans, który skończy się cierpieniem.

Stanowczo odepchnęła te fantazje i przykazała sobie w duchu odciąć się od nich na dobre.

- Pod pewnymi warunkami.

- Jakimi? - zapytał podejrziwie.

- To, co się stało tamtej nocy, nie może się powtórzyć.

Czyli żadnego dotykania.

- Dobrze.

- Ani całowania - dodała szybko i nagle przypomniała sobie, jak smakuje jego wargi.

- To podpada pod kategorię dotykania, nie uważasz?

- Wyszczególniam tak na wszelki wypadek.

- Świetnie. Żadnego dotykania, żadnego całowania.

Umowa stoi?

Przyszło jej do głowy, że pewnie tego pożałuje. Ale jeśli się nie zgodzi, też będzie żałować. Więc skoro tak czy owak ma być nieszczęśliwa, to równie dobrze może zrobić to, co tak bardzo chce zrobić.

- Dobrze - powiedziała, zanim racjonalne argumenty zdążyły ją powstrzymać. - Do zobaczenia jutro rano.

Następnego dnia o siódmej rano Sam otworzył drzwi przed Michelle. Stał w progu i nie spuszczał z niej wzroku.

Chciał się nacieszyć jej widokiem. Wyglądała rewelacyjnie, nawet w dżinsach i bluzie od dresu. Włosy związała lawendową apaszką w koński ogon. Jedwabna tkanina trzepotała po obu stronach jej twarzy. Kolor podkreślał fioletowy odcień oczu Michelle.

Uniosła brwi i zapytała:

- Wpuścisz mnie do środka?

- Och. Oczywiście.

Cofnął się. Minęła go, muskając przy tym ramieniem jego tors, czym wywołała wybuch gorąca, które przeszło go od stóp do głów. Żadnego dotykania, przypomniał sobie. I zaraz dodał w duchu, że być może jest to słuszna zasada, ale nie będzie łatwo się jej trzymać. Westchnął głęboko i nagle otoczył go delikatny zapach jej perfum. Lawenda i wanilia. Przełknął ślinę i po raz setny zapytał sam siebie, czy postępuje słusznie.

Lecz wiedział, że i tak nie ma wyboru. Potrzebował pomocy. A jej ufał. Mimo wszystko. Był pewien, że zajmie się dziećmi jak należy.

Zamknął drzwi i odwrócił się. Położyła na kanapie torebkę oraz walizkę z laptopem. Najwyraźniej miała w planach również pracę. Następnie włożyła ręce do tylnych kieszeni dżinsów i zaczęła się bujać na piętach.

- No, więc - powiedziała, zerkając w stronę pokojów.

- Obudziły się już?

Parsknął śmiechem.

- Nie śpią od piętej.

Kiwnęła głową i podniosła wzrok na niego.

- Czy to się uda, Sam?

Wiedział dobrze, o co jej chodzi. Nie miało to nic wspólnego z opieką nad dziećmi.

- Nie wiem - odparł.

Postawił na szczerość. Zresztą ona od razu by się poznała na kłamstwie.

Omiótł ją szybko wzrokiem. Zatrzymał się na słowach wypisanych na jej bluzie.

- „Uroczystości w świetnym stylu”? - zapytał.

Wyciągnęła ręce z kieszeni i wygładziła bluzę.

- To moja firma. - Po czym dodała, jakby uznała, że to bezpieczny temat: - Organizuję uroczystości. Wesela, przyjęcia, konferencje.

- Dobra w tym jesteś? - zapytał.

- Świetna.

Nie wątpił. Był przekonany, że nie ma rzeczy, której Michelle

nie byłaby w stanie zrobić. Oczywiście poza wyjściem za niego za mąż. Ale, ale, ten temat lepiej zostawić w spokoju.

Poszli razem do pokoju dziewczynek.

- Nakarmiłem je godzinę temu - mówił Sam po drodze.

- Lecz oczywiście uparły się, że wolą mieć jedzenie na sobie, niż w sobie, więc pewnie niedługo znowu zgłodnieją.

- Dobrze - powiedziała tylko.

Była zaledwie o krok za nim. Choć żeby to wiedzieć, nie potrzebował słyszeć jej głosu. Wyczuwał jej bliskość i bez tego.

Wszedł do pokoju dziecinnego i parsknął śmiechem na widok zdziwionych min na dwóch małych twarzyczkach.

Beth stała w swoim łóżeczku. Małe piąstki zacisnęła mocno na poręczu i podskakiwała na materacu. Marie siedziała z owieczką na kolanach i gaworzyła bez ładu i składu.

Lecz na jego widok oczka im się rozszerzyły i dwie okrągłe buzie rozjaśniły szerokie uśmiechy. Serce Sama aż się ścisnęło na ten widok. Owinęły go sobie wokół paluszków. I doskonale o tym wiedziały. Aż trudno uwierzyć, że jeszcze dwa tygodnie temu znaczyły dla niego praktycznie tyle, co zdjęcia przysłane przez dumnych rodziców. A teraz właściwie nie potrafił sobie wyobrazić swojego domu bez rozbrzmiewającego w nim dziecięcego śmiechu oraz zapachu mleka i pudru.

Marie dźwignęła się na nogi i w tej samej chwili spadła z niej pieluszka. Sam zmarszczył brwi. Wciąż miał z tym problemy.

- No, wiesz, Sam - powiedziała Michelle, podchodząc do golusieńkiego teraz dziecka. - Nie umiesz porządnie założyć pieluszki?

- Moim zdaniem ona je sobie ściąga - próbował się bronić. Posłał krótkie spojrzenie drugiemu dziecku i zauważył:

- Pieluszka Beth jest na miejscu.

Michelle też spojrzała na Beth.

- Ledwo się trzyma. A i to dlatego, że przykleiłeś jej taśmę do brzuszka.

Przyjrzał się uważniej i zmarszczył brwi.

- One są bardzo ruchliwe. To trudne.

Kręcąc głową Michelle położyła Marie w łóżeczku i powiedziała:

- Czy, mógłbyś mi podać nową pieluszkę?

Wziął jedną ze sterty koło łóżeczka. Następnie oparł przedramiona na poprzeczce łóżeczka i przyglądał się Marie, która pedałowała nóżkami w powietrzu tak energicznie, jakby brała udział w triathlonie. Uśmiechnął się do siebie i powiedział:

- No, dobrze, Michelle. Zobaczymy, jak ty sobie poradzisz z tymi szybkimi kończynami.

Przechyliła głowę i spojrzała na niego.

- Rzucasz mi wyzwanie? - zapytała.

- Zgadłaś.

- Doskonale - odparła i zajęła się dzieckiem.

Wzięła pluszową owieczkę i zaczęła muskać jej miękkim nosem nosek Marie. Dziewczynka się roześmiała, złapała zabawkę i przytuliła ją do siebie. Gdy była tym zajęta, Michelle szybko i zgrabnie założyła jej pieluszkę.

- Gotowe - oznajmiła unosząc obie ręce w zwycięskim geście, niczym królowa rodeo, która właśnie złapała na lasso cielaka.

- Oszukiwałaś - stwierdził Sam.

Wyprostował się i posłał swojej nowej córce czytelne spojrzenie, które mówiło: „zdrajczynie”.

- Wcale nie oszukiwałam - nie zgodziła się z nim Michelle. - Czyż to nie ty powiedziałeś mi kiedyś, że żołnierz piechoty morskiej musi improwizować, pokonywać przeszkody i przystosowywać się do zaistniałych warunków?

- Improwizować, przystosowywać się i pokonywać przeszkody - poprawił ją.

- Właśnie to powiedziałam.

- W niewłaściwej kolejności.
- A co za różnica?
- Jedna kolejność jest dobra, a druga nie.

Pokręciła głową.

- Niech ci będzie. - Odetchnęła głęboko i powiedziała:
- Zresztą, w takiej czy innej kolejności, to jest właśnie to, co zrobiłam.

Pełen samozadowolenia uśmiech, jaki odmalował się na jej twarzy, był po prostu powalający. Ostatkiem sił powstrzymał się przed podejściem do niej. Przed wyciągnięciem ręki i dotknięciem jej policzka. Przed porwaniem jej w ramiona i pocałowaniem. Nie przestawał o tym marzyć od ich" ostatniej wspólnej nocy.

Przypomniawszy sobie, że jest coś jeszcze, co muszą przedyskutować. Odsuwał to od siebie przez ponad tydzień, bo wiedział, że gdy znajdzie się blisko niej, to nie o rozmowie będzie myślał. Ale już dłużej nie można tego odkładać.

- Michelle - powiedział cicho. Spoważniała. - Musimy porozmawiać o tamtej nocy.

Zesztywniała.

- Nie ma o czym rozmawiać - powiedziała. - Oboje się zgodziliśmy, że to była pomyłka. Mamy to już za sobą. Nie wracajmy do tego.

- Nie da rady. W każdym razie jeszcze nie w tym momencie...

- Sam, umówiliśmy się...

- Umowa polega na tym, że nie wolno mi cię dotykać
- wszedł jej w słowo. - Rzecz w tym, że to już się stało.

- Sam, nie ma sensu o tym rozmawiać - powiedziała stanowczo. - To tylko wszystko jeszcze bardziej skomplikuje.

Sytuacja nie może być chyba bardziej skomplikowana, pomyślał. Stał oto obok kobiety, o której śnił przez całe lata, i chyba nigdy w życiu nie dzielił ich większy dystans. Czy może być gorzej?

- Do licha, Michelle - mówił coraz bardziej przyduszone głosem. - Musimy porozmawiać o czymś, co powinno zostać omówione półtora tygodnia temu.

Podniosła głowę. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie zastosowaliśmy żadnego środka antykoncepcyjnego, pamiętasz? Muszę wiedzieć, czy ty się zabezpieczyłaś?

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Sam aż się gotował z wściekłości. Po raz kolejny, bez słowa wytłumaczenia, wyparła się tego, co ich łączy. No, cóż, tym razem nie zamierzał jej tak łatwo odpuścić. Musiał się dowiedzieć, czy istnieje choćby nikła szansa, że wkrótce zostanie ojcem trójki dzieci.

- Michelle?

Wciągnęła powietrze ze świstem, spojrzała na niego i powiedziała:

- Trochę za późno, żeby się o to martwić.

Nie musiała mu tego mówić. Również on powinien był pamiętać o groźbie ciąży. Ale, do licha, mieć ją w ramionach po dziesięciu długich latach... Dobrze, że pamiętał o oddychaniu.

- Tak, wiem - mruknął, zły na siebie, że do tego dopuścił. Ale stało się i teraz będą sobie musieli z tym poradzić. Lepiej późno niż wcale. - Nie myślałem wtedy jasno. Oboje nie myśleliśmy.

Prawie się wzdrygnęła. Sam od razu zaczął się zastanawiać, czy, podobnie jak on, wraca w myślach do tamtej nocy. Czy przypomina sobie jego pieszczoty. Zgodne łomotanie

obu serc. Rosnącą falę podniecenia. Dobry Boże, samo wspomnienie wystarczyło, żeby znowu jej zapragnął.

- Wiem - powiedziała i w końcu spojrzała mu prosto w oczy. - Ale to była pomyłka. I już się nie powtórzy.

Dziwne, jak pusty w środku może się poczuć mężczyzna, gdy usłyszy takie słowa od kobiety, której tak bardzo pragnie. A przecież tak będzie najlepiej, powtarzał sobie. Nie ma sensu pakować się w coś, z czego i tak nic nie wyjdzie.

- Tak - wydusił z siebie. - To już ustaliliśmy. Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie. Dla twojej wiadomości dodam, że jestem zdrowy, więc o to nie musisz się martwić.

Ale z niej idiotka! Jak mogła o czymś takim nie pomyśleć. W dzisiejszych czasach! Lecz ufała mu. Nie okłamałby jej. Więc odpowiedziała:

- Wierzę ci. Powinieneś wiedzieć, że mnie też... nic nie jest.

Miała absolutną pewność, że jest zdrowa. W jej życiu było tylko dwóch mężczyzn: Sam i zmarły mąż. Od śmierci Williama prowadziła życie zakonnicy.

Na wargach Sama pojawił się wymuszony uśmiech.

- Nie spodziewałem się niczego innego, Michelle. Ale nadal istnieje szansa, że jesteś w ciąży. Chyba że...

Poczuła ucisk w żołądku, a w gardle urosła jej gula.

- O to nie musisz się martwić.

- Na pewno?

Wszystko w niej zamarło. Zapomniany ból ukłuł ją znowu w sercu.

- Na pewno - odpowiedziała.

- Aha. - Kiwnął gwałtownie głową. - To dobrze, prawda?

- Owszem - mruknęła i odwróciła się do Marie.

Dziewczynka zaczęła gaworzyć z przejęciem. Och, tak, pomyślała Michelle. Po prostu rewelacyjnie, że nie musi się martwić zajściem w ciążę. Ależ niej szczęściara!

Pogłaskała Marie po policzku, rozkoszując się gładkością dziecięcej skóry. Los się do niej naprawdę uśmiechnął, bo nigdy nie zostanie matką. Nigdy się nie dowie, jakie to uczucie, gdy pod sercem rośnie nowe życie. Gdy trzyma się w ramionach noworodka...

Oczy przesłoniły jej łzy. Zamrugła, żeby je stłumić. Zależało jej na tym, żeby się nie rozpłakać, nie w obecności Sama. Na pewno chciałby poznać przyczynę, a ona nie mogła mu jej zdradzić. Poza tym, powiedziała sobie stanowczo, oplakała to już dawno temu. I wystarczy. Nauczyła się żyć ze świadomością, że nigdy nie będzie mieć dzieci.

Przeżywanie tego na nowo... tej pustki... jest po prostu nie do zniesienia.

- Hej - odezwał się cicho Sam i położył jej dłoń na ramieniu. - Wszystko w porządku?

Nie chciała współczucia. Mogłaby stracić panowanie nad sobą. Poza tym umówili się, że nie będzie jej dotykał. Od jego dłoni promieniowało ciepło, które rozchodziło się po całym jej ciele. Marzyła o tym, by się do niego teraz przytulić. Chciałaby doświadczyć tego jeszcze ten jeden, jedyny raz, zanim skaże się na życie bez niego. Ale nie mogła. Ani teraz, ani nigdy. Nic się nie zmieniło. Sytuacja była dokładnie taka

sama, jak dziesięć lat temu. Stał przed nią mężczyzna, który chciał mieć rodzinę. A ona nie mogła mu jej dać.

Pociągnęła lekko nosem i wyprostowała się. Uniosła podbródek. Odsunęła się od niego.

- Nic mi nie jest - miała nadzieję, że to kłamstwo zabrzmiało wiarygodnie.

A potem nachyliła się i wzięła Marie na ręce. Dziewczynka zarzuciła jej swoje pulchne ramionka na szyję. Michelle trzymała ją niczym tarczę między sobą a Samem.

- Nie spóźnisz się do pracy? - zapytała ze sztucznymżywieniem.

Nie spuszczała z niego oczu. Czekala, aż ta nieufna podejrzliwość zniknie z jego spojrzenia.

Zmiana tematu zrobiła swoje.

Spojrzał na zegarek i mruknął:

- A niech to, już się spóźniłem. - Po czym ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się w progu i spojrzał jeszcze raz na nią.

- Na pewno sobie poradzisz?

- Na litość boską, Sam - powiedziała. - To tylko dzieci, a nie para reaktorów atomowych. Dam sobie radę.

Kiwnął głową.

- Dobrze. To do zobaczenia później.

I już go nie było. Drzwi frontowe zatrzasnęły się za nim. Chwilę później Michelle usłyszała dźwięk zapalającego silnika. Podeszła do okna i patrzyła, jak wyjeżdża tyłem na ocienioną drzewami uliczkę. Gdy samochód zniknął jej z zasięgu wzroku, odetchnęła głęboko po raz pierwszy od chwili, gdy przestąpiła próg tego domu.

Marie klepnęła ją swoją małą dłonią w policzek. Kobieta uśmiechnęła się do dziecka. Bez względu na wszystko inne zamierzała cieszyć się czasem spędzonym z dziewczynkami. Komu to zaszkodzi, jeśli przez chwilę będzie udawać, że to jej córki? Układ i tak jest tymczasowy. Wkrótce Sam nie będzie potrzebował jej pomocy i Michelle wróci do swojego życia. Do swojego wyczyszczonego na błysk, cichego mieszkania. Będzie miała wtedy dość czasu na opłakiwanie straty Sama i dzieci. Czemu choć w części nie zapelnąć tej czekającej ją pustki kilkoma wspomnieniami?

Cmoknęła Marie w czubek głowy. Przez chwilę wdychała aromat pudru zmieszanego ze słodkim zapachem dziecka. Poczowała bolesne ukłucie w sercu. Wiedziała już, że tego bólu nie pozbędzie się nigdy.

Sam wziął podpisane dokumenty od siedzącego naprzeciwko chłopaka. Po raz kolejny je przejrzał. Chciał mieć pewność, że wszystko jest w absolutnym porządku. Następnie wyciągnął rękę do świeżo upieczonego rekruta.

- Wszystko załatwione, panie Jackson - powiedział. - Za sześć tygodni stawi się pan na obóz dla poborowych. Zawiadomimy pana, gdzie i kiedy.

Dzieciak podał mu rękę, po czym wstał z uśmiechem na twarzy. Sam próbował przypomnieć sobie, jaki był w jego wieku. Też się tak gorliwie wyrwał do piechoty morskiej.

- Dziękuję, proszę pana - powiedział przejęty Henry Jackson.

Sam pokręcił głową i również wstał.

- Sierzancie. Do sierżantów nie należy zwracać się per „proszę pana”.

- Tak jest, proszę pana sierżanta.

Po czym, wciąż z uśmiechem na twarzy, odwrócił się i wymaszerował z punktu rekrutacyjnego prosto w słoneczny dzień.

Za plecami Sama rozległ się chichot. Odwrócił się i spojrział na sierżanta Jake'a Cuttera.

- Czy to ja? - zapytał Sam. - Czy też te dzieciaki robią się z roku na rok coraz młodsze?

- To nie ty, Sam - odpowiedział Jake, kręcąc wolno głową. - Oni rzeczywiście są coraz młodszy. Bo alternatywa jest taka, że to my robimy się coraz starsi, a to mi się jakoś nie bardzo podoba.

- Mnie też nie - stwierdził Sam i zasiadł przy biurku, żeby wypełnić papiery Henry'ego Jacksona.

- No, więc - zaczął Jake, bujając się na krześle tak energicznie, że aż zaczęło głośno trzeszczeć. - Co tam słyhać w dzieciennym pokoju?

- Czyste szaleństwo - odparł Sam.

Od chwili gdy Marie i Beth wkroczyły w jego życie, Jake wiernie wysłuchiwał wszystkich narzekań i opowieści o każdym sukcesie. Boże, czy to naprawdę było zaledwie dwa tygodnie temu? Jak to możliwe, że w ciągu czternastu dni zmienił się cały świat?

Sam opadł na krzesło i wyjrzał na zewnątrz. No dobrze, przyznał w duchu. Może i nie cały świat uległ zmianie. Widok za oknem był taki sam, jak zawsze. Przechodnie wcho-

dzili i wychodzili ze sklepów. Nastolatki jeździły na deskorolkach, przeszkadzając innym.

Od dwóch miesięcy pracował w biurze rekrutacyjnym i miał tu zostać jeszcze przez jakiś rok. Wielka szkoda, pomyślał, bo taka praca pozostawiała zbyt dużo czasu na rozmyślanie. A jemu potrzebna była akcja. Działanie. Przygotowywanie oddziałów do walki. Do ataku na wroga. Coś, na czym mógłby się skupić. Co odciągnęłoby jego uwagę od Michelle, bliźniaczek i reszty życia.

Westchnął i przykrył oczy dłonią. To tylko zmęczenie, uspokajał sam siebie. Dlatego tak go męczą myśli o Michelle. Dlatego nie może zmienić biegu-myśli, które nieodmiennie zmierzają w jej kierunku. Zmęczenie może naprawdę spać człowieka życie. Do licha, odkąd pojawiły się bliźniaczki, nie przespał porządnie ani jednej nocy. I nie mógł nawet zrzucić winy na Beth i Marie.

Bo nie szło wcale o to, że one całymi nocami płaczą. Rzecz w tym, że jemu się wydawało, iż słyszy każdy ich oddech - każde prychnięcie i westchnienie. Potrafił wstawać pięć razy i sprawdzać, czy nadal oddychają. Jak na człowieka, który zawsze się szczycił tym, że nawet armaty nie są go w stanie obudzić, to było nieco dziwne. I znaczące.

- Dlaczego to robisz, Sam?

Wdzięczny za wyrwanie go z zamyślenia, odwrócił się do przyjaciela i zapytał:

- Co?

Jake pochylił się, oparł ręce na kolanach i przyjrzał mu się uważnie.

- Nie musisz zatrzymać dziewczynek - powiedział w końcu.

Rysy Sama się zaostrzyły, ale Jake ciągnął dalej:

- Przecież możesz zrzec się opieki nad nimi.

- Nie mogę - mruknął.

Wstydział się, że, gdy dowiedział się o śmierci Dave'a i Jackie, przez chwilę brał taką możliwość pod uwagę. Ale pokażcie mi samotnego mężczyznę, który nie próbowałby się pozbyć takiego balastu? W końcu w ciągu jednej nocy, nagle i niespodziewanie, został ojcem. Lecz to już przeszłość. Decyzja została już podjęta. Dziewczynki należały do niego i tak pozostanie. Tego chciał Dave. Sam zamierzał dotrzymać obietnicy złożonej zmarłemu przyjacielowi.

- Nikt nie może oczekiwać, że postawisz swoje życie na głowie - dodał Jake.

Dzieci miały prawo tego od niego oczekiwać, pomyślał Sam. Straciły wszystko. Jego zadaniem było im to wynagrodzić. Potarł powieki palcami i poruszył ramionami, jakby próbował pozbyć się ciężaru, który zaległ na jego barkach. Nie chodziło o same dzieci. Raczej o odpowiedzialność. Musiał zapewnić im godziwe życie.

Do Jake'a powiedział jednak tylko:

- Dave tego ode mnie oczekiwał. Złożyłem mu obietnicę. Liczył, że jej dotrzymam.

- Dave nie żyje - powiedział cicho Jake. - Taka jest smutna prawda. Nie żyje, więc nigdy by się nie dowiedział, gdybyś nie dotrzymał obietnicy.

Sam zacisnął szczękę.

- Ale ja bym wiedział.
- Człowieku, ależ ty wolno myślisz - powiedział Jake z odrazą. - Dookoła pełno par, które bardzo chcą adoptować dziecko. Bliźniaczki z miejsca znalazłyby dobry dom.

- One już mają dobry dom - stwierdził uparcie Sam.
A w każdym razie będą go miały.

- Świetnie. Ale pamiętaj, że większość samotnych ojców nie jest żołnierzami piechoty morskiej, którzy muszą brać pod uwagę możliwość wyjazdu na manewry.

Sam odwrócił się i spojrzał na niego.
Jake skinął głową na widok zrozumienia, malującego się z wolna na twarzy Sama.

- W końcu do ciebie dotarło - zauważył. - O tym nie pomyślałeś, co?

Nie, nie pomyślał. Potarł kark. W głowie wirowało mu od myśli. Każdy żołnierz piechoty morskiej musi być gotowy do wyjazdu na manewry. Jeśli ma dzieci, musi znaleźć dla nich opiekuna zastępczego. Kogoś, z kim dzieci mogą zostać, gdy on wyjeżdża na parę miesięcy.

Jeśli człowiek nie może wyjechać... to nie może służyć w piechocie morskiej.

- A niech to wszyscy diabli!
- Wiedziałem, że zrozumiesz - zadrwił z niego Jake. -
Koniec końców.

No, dobrze. To trochę komplikuje sytuację. Ale nie tak znowu bardzo. Może jednak bardzo. Ale da się jakoś ten problem rozwiązać. Trzeba się tylko zastanowić. Popracować głową.

W końcu nie był już zupełnie sam. Miał teraz rodzinę. Oczywiście, nie była to zupełnie normalna rodzina. Jego matka zmarła, gdy był mały. Wychowywał go ojczym, który legalnie go zaadoptował, gdy Sam miał dziesięć lat. Mimo że bardzo się starał, był z niego kiepski ojciec. Więcej czasu spędzał w pracy niż z synem. Staruszek dostał w końcu ataku serca i zmarł dwa lata temu.

Lecz kilka miesięcy temu do drzwi Sama zapukał prywatny detektyw i poinformował go, że jest spokrewniony z Fortune'ami. Teraz miał nie tylko ciotki, wujów i kuzynów, ale także przyrodnich braci i siostry, o których dotąd nie wiedział. Jednak to pokrewieństwo było dla niego na razie czymś zbyt nowym, zbyt kruchym, żeby na nim polegać. Nie miał zamiaru prosić Fortune'ów o pomoc. Jakoś poradzi sobie sam.

Potrzeba mu tylko czasu.

Gdy obie bliźniaczki już spały, Michelle włączyła komputer i usiadła za kuchennym stołem. Zamierzała trochę popracować. Bogu niech będą dzięki za Internet i telefon, bo dzięki temu praktycznie wszystko mogła zrobić w domu.

Najpierw weszła na swoją stronę internetową i do skrzynki pocztowej, żeby sprawdzić, czy nie ma nowych e-maili. Były trzy. Dwa pierwsze zawierały proste pytania dotyczące jej działalności, trzeci wysłała Miranda Fortune.

„Michelle, gdzie ty się podziewasz? Zadzwoń do mnie. Miranda”

Michelle wyszła z Internetu i podniosła słuchawkę. Wykręciła numer. W końcu, po szóstym dzwonku, usłyszała miękki, teksański akcent Mirandy:

- Halo?
- Cześć, Mirando. Tu Michelle. Dostałam twój e-mail.
- Dzięki Bogu. Szukałam cię.
- Czemu, co się dzieje?
- Co się dzieje? - zapytała Miranda, a w jej głosie zabrzmiała ekscytacja. - Za niecały miesiąc wychodzę za mąż. W przyszłym tygodniu wydaję przyjęcie dla kolegów z pracy Daniela. Mój ślub już za miesiąc, a kucharka właśnie odeszła. A co tam u ciebie?

- Trochę spokojniej - przyznała Michelle, po czym rozsiadła się wygodnie na krześle. - Ale czemu chciałaś się ze mną skontaktować?

- Żeby ci powiedzieć, żebyś nie zamawiała tego łososia na przyjęcie ślubne. - Westchnęła. - Daniel woli stek.

Michelle uśmiechnęła się do słuchawki.

- To Tekszańczyk z krwi i kości, Mirando. Nic dziwnego, że woli stek.

- Wiem - zachichotała Miranda. - Chyba powinnam się cieszyć, że nie upiera się przy tym, by goście sami złapali sobie kolację na łące. Mówię ci, ten facet urodził się o sto lat za późno. Byłby z niego świetny kowboj.

- Pewnie tak, choć ciebie jakoś trudno mi sobie wyobrazić w roli żony pioniera Dzikiego Zachodu.

- Och, nie, kochanie, za żadne skarby świata. - Miranda odetchnęła głęboko i westchnęła. - Obawiam się, że lubię

różne małe wygody. - Po czym zmieniła temat: - No, więc gdzie jesteś? Kilka razy dzwoniłam dziś do ciebie do domu.

- Jestem u Sama.

- U Sama? Mojego bratanka Sama?

- Zgadza się.

- Ojej, skarbie, czyżbyś miała mi coś ciekawego do powiedzenia?

Michelle aż się skuliła w sobie.

- Nie. Pomagam mu przy dzieciach.

- Przecież poleciłam mu świetną agencję.

- Najwyraźniej nianie, które przysłali, nie spełniły jego oczekiwań.

- To dlaczego nic mi o tym nie powiedział?

W jej głosie zabrzmiała uraza, więc Michelle powiedziała szybko:

- Na pewno nie chciał ci więcej zwracać głowy.

- To nie jest zwracanie głowy, Michelle. On jest moim krewnym.

Mówiła szczerze. Miranda miała złote serce. Dla niej nie miał znaczenia fakt, że Sam i inni Fortune'owie zostali odnalezieni zaledwie parę miesięcy temu. Rodzina to rodzina. I tylko to się liczy.

- On na pewno sobie z tego zdaje sprawę, Mirando - powiedziała Michelle. - Tylko że to samotnik z usposobienia.

Zawsze taki był.

- Hmm... Znasz Sama od lat, prawda?

- Tak.

- Jakieś iskrzenie między wami, o którym powinnam wiedzieć?

- Iskrzenie? - zapytała Michelle i od razu przypomniała sobie gorączkę, która ogarniała ją za każdym razem, gdy w pobliżu pojawiał się Sam.

Określenie „iskrzenie” nie bardzo oddawało rzeczywistość. Lepiej byłoby powiedzieć „pożar lasu”...

- Nie rób ze mnie idiotki, Michelle Guillaire - droczyła się z nią Miranda. - Lecz skoro nie chcesz mi nic powiedzieć, to może przyszlabyś jutro na kolację i przedyskutujemy plany przyjęcia ślubnego?

- W porządku.

- Doskonale. I uściskaj dzieci od ciotki Mirandy, dobrze?

Po czym przerwała połączenie. Michelle gapiała się tępo na słuchawkę. Miranda coś knuła.

Pytanie tylko - co?

Michelle na pewno nie miała ochoty na rozmowę o Samie. Jej przyjaciółka bardzo szybko by się domyśliła tego, co Michelle uświadomiła sobie dopiero przed chwilą.

Nadal kocha Sama Pearce'a.

Kocha go bez pamięci.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy Sam wrócił tego popołudnia z pracy, osłupiał w progu.

Dom wyglądał tak, jakby przeniesiono tu sklep z zabawkami z całą zawartością. Podwójna spacerówka, dwa gigantyczne pluszowe króliki, jeden różowy, drugi żółty, sterta nie otwartych pudeł i cała góra pieluszek.

- Skąd się tutaj to wszystko wzięło? - zapytał, choć w pokoju nie było poza nim nikogo.

- Większość - usłyszał głos Michelle dochodzący z holu - pochodzi ze sklepu Neimana i Marcusa, reszta z „Dzieci To Nasza Specjalność” w centrum.

- Od Neimana i Marcusa? - powtórzył i ruszył w jej stronę.

Niechący wszedł na leżącą na podłodze lalkę i posłał ją kopniakiem na ścianę, skąd zawodziła teraz cienkim głosem:

- Ma-ma.

Rany boskie.

- Owszem - potwierdziła Michelle, po czym mruknęła:

- Potrafisz, myszko. Potrafisz to zrobić.

- Zrobić co? - zapytał, wchodząc do holu.

Michelle klęczała obok dzieci, z których każde siedziało w małym chodziku. Wierciły się energicznie, wierzyły stóp-

kami nad podłogą, a rączkami uderzały w jaskrawe kółka przed sobą. Beth i Marie najwyraźniej świetnie się bawiły.

Na widok bliźniaczek odruchowo się uśmiechnął. A potem przeniósł wzrok na Michelle i aż mu zaschło w ustach. Koński ogon trochę się jej przekrzywił, na bluzie miała kilka plam z jedzenia dzieci i uśmiechała się z dumą od ucha do ucha.

W życiu nie wyglądała pięknie.

Serce mu się ścisnęło. Miał wrażenie, że ktoś włożył je w imadło i teraz dokręca coraz mocniej śrubę. Przeszył go ból. Jak on zdołał przeżyć ostatnie dziesięć lat bez niej? Jak zdoła przeżyć kolejne dziesięć minut, nie dotykając jej? Dlaczego nadal mu zależy? Do licha, to nie powinno być aż takie bolesne.

Dziesięć lat temu złamała mu serce. Odeszła od niego, niszcząc to, co ich łączyło, i nawet nie pofatygowała się, żeby mu zdradzić przyczynę. Więc czemu wciąż jej tak desperacko pragnie? Czemu jego serce nie chce zrozumieć tego, co głowa w końcu pojęła? Cokolwiek kiedyś łączyło go z Michelle, jest to już przeszłość. Zdruzgotały to lata pustki i zdrady.

- Sam? Dobrze się czujesz?

Zamrugnął i spojrzał prosto w te fiołkowe oczy, które śniły mu się po nocach.

- Tak, tak - odpowiedział. Podjął mocne postanowienie, że nie pozwoli swoim myślom błąkać się w rejonach, gdzie nie mają czego szukać. - Nic mi nie jest. - Przyjrzał się dzieciom w nowych chodzikach i dodał: - Mnie nie stać na rzecz od Neimana i Marcusa. Skąd to wszystko wzięłaś?

- Gabrielle po mnie wpadła i pojechałyśmy na zakupy.
No i...

Pokazał gestem, że się poddaje. Wiedział dobrze, że córka Mirandy była jak żywioł. Nie dało się jej powiedzieć „nie”, tak jak nie da się powstrzymać huraganu.

- Prosiła, żeby ci powiedzieć, że to coś w rodzaju spóźnionego prezentu na chrzciny.

- Super - mruknął.

Nie chciał pieniędzy Fortune'ów, które podobno mu się należały. Więc zamiast tego jego kuzyni zasypują go kosztownymi prezentami. Nie miał zielonego pojęcia, jak zwrócić te rzeczy, nie obrażając przy tym Gabrielle.

Rodzina. A niech to. Nie będzie łatwo się przyzwyczaić.

Ale w tej chwili... Przyklęknął na jedno kolano i popatrzył na dzieci. Zbliżały się do niego przebijając nóżkami i rączkami. Drewniana podłoga skrzypiała pod kółkami chodzików. Ich małe, identyczne buzie rozświetlało wewnętrzne światło, radość praktycznie z nich tryskała. Każdego by ten widok złapał za serce.

- Hej tam, wy dwie - powiedział miękko, i wyciągając do nich ręce. - Co słychać?

Marie coś zagaworzyła, Beth się roześmiała. Michelle przyglądała się całej trójce z bólem serca. Nie powinna się torturować. Tylko co miała robić? Obiecała pomóc Samowi przy dziewczynkach i z miejsca je pokochała. Zawładnęły jej sercem z równą łatwością, z jaką teraz zmierzały do mężczyzny, który czekał na nie z uśmiechem na twarzy.

Zresztą i tak jest już za późno. Dziewczynek nie da się

wyrugować z jej serca. Wiedziała, że nigdy ich nie zapomni. Zawsze będzie się zastanawiać, gdzie są, co robią i jak się mają. Czy są szczęśliwe? Czy są zdrowe?

I będzie sobie zadawać te same pytania w odniesieniu do Sama.

Wycofała się, usiadła na podłodze, podciągnęła kolana pod brodę i otoczyła je ramionami. Przyglądała się małej rodzinie. Jej sytuacja była dokładnie taka, jak zawsze.

Przyglądała się z boku.

Następnego wieczoru Sam stał na werandzie domu swojej ciotki i wygłaszał przemówienie skierowane do swoich nowych córek.

- Bądźcie grzeczne. Przecież nie chcecie, żeby ciocia Miranda pożałowała, że zaprosiła nas troje na kolację, prawda?

Uśmiechnęły się do niego. Nie potrafił się zdecydować, czy to dobry znak, czy zły. Ze stoickim spokojem wyciągnął rękę i nacisnął dzwonek.

Chwilę później drzwi się otworzyły.

- Daj mi jedno z tych uroczych dzieci - odezwała się przeciągle Miranda i prawie się rzuciła na Sama.

Szybko porwała Marie z jego biodra i przytuliła ją do siebie, kołyszac łagodnie.

- Och, Mirando - powiedział Sam, nie spuszczać czujnego oka z dziecka zwanego inaczej Plujką. - Może lepiej jej tak nie huśtaj, bo ona dopiero co jadła...

Zamilkł, bo Marie, wyraźnie w swojej najwyższej formie,

zwróciła połowę kolacji na ciemnogrnatową jedwabną bluzkę Mirandy. Sam jęknął cicho. To by było na tyle w kwestii pierwszego wrażenia, mała. W duchu modlił się, żeby to nie okazało się zwiastun kolejnych katastrof.

Lecz Miranda nie była ani trochę zbита z tropu.

- Och, moje biedactwo - wyszeptwała, odgarniając miękkie włosy Marie z jej twarzy. - Boli cię brzuszek?

Dziewczynka uśmiechnęła się i przytuliła do kobiety. Miranda spojrzała na Sama. Domyśliła się z jego miny, co mu chodzi po głowie.

- Nic się nie martw - powiedziała. - To normalne u dzieci. Poza tym to przecież tylko bluzka, nic wielkiego.

Tylko bluzka, pomyślał Sam. Która zapewne kosztowała połowę jego tygodniówki. Nie był pewien, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do zamożności rodziny, której dopiero co stał się członkiem. Lecz serdeczność Mirandy trudno było zignorować.

Westchnął i powiedział:

- Przepraszam cię za to. Wezmę ją.

- Nie gadaj głupstw - odpowiedziała ciotka. - Lepiej idź do salonu i przywitaj się, a ja i Marie doprowadzimy się w tym czasie do porządku.

Nie czekając na jego reakcję, Miranda odwróciła się i odmaszerowała. Na nogach miała szpilki od Ferragamo. Cały czas mówiła coś do dziecka.

Beth klapnęła go w policzek. Spojrzał na nią spod uniesionych brwi.

- Ty przestałaś na okrągło płakać. Czemu twoja siostra

nie przestanie wymiotować za każdym razem, gdy tylko coś zje? I tylko niech ci nic nie przyjdzie do głowy. Jedna plujka w rodzinie wystarczy.

Dziecko zachichotało w odpowiedzi. Sam nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Coś mi się zdaje, że twój urok osobisty wydatnie pomoże ci przejść przez życie, wiesz?

Po czym ścisnął mocno torbę z pieluszkami, która ostatnio praktycznie przyrosła mu do ramienia, i ruszył w stronę, skąd dochodziły go dźwięki rozmowy.

Raz czy dwa był już w domu Mirandy, ale miejsce to nieodmiennie robiło na nim wrażenie. Piękno i elegancja. Czuł się tu jak przysłowiowy słoń w składzie porcelany. I to wcale nie dlatego, że wewnątrz wypełniały liczne bibeloty. Podłogi wyłożone terakotą były pięknie wypolerowane, w łukowatych przejściach wisiały obrazy przedstawiające kwiaty i owoce, dzięki czemu człowiek czuł się tu niemal tak, jak w ogrodzie. Wszędzie było też pełno świeżych kwiatów. Sztuka meksykańska wisiała na ścianach obok obrazów teksańskich malarzy. Cały dom świadczył o dużych pieniądzach i świetnym goście, a jednocześnie panowała w nim przytulna atmosfera.

Lecz Sam nie był przyzwyczajony do takich wnętrz. Cały czas bał się, że straci jakąś wagę albo wejdzie w kredens z kolekcją ceramiki. Dziś, gdy musiał się ponadto martwić o bliźniaczki, nie miał szans na spokojny wieczór. Nie wolno mu z nich spuścić oka. Bóg wie, w co mogą się wpakować.

Ze sprzętu stereo sączyły się łagodne dźwięki klasycznej

gitary. Przytłumione głosy stały się wyraźniejsze. Powoli zbliżał się do salonu. Zawahał się tylko na chwilę, gdy rozpoznał wśród nich głos Michelle.

Zmarszczył brwi. Dlaczego ani słowem mu nie wspomniała, że wybiera się dziś do Mirandy? Chociaż może nie należy doszukiwać się w tym nic dziwnego, skoro praktycznie przestali ze sobą rozmawiać. Ich zasada „żadnego dotykania” rozrosła się także w „żadnego rozmawiania”.

Wczoraj wieczorem wyszła, gdy tylko przywitał się z bliźniaczkami. Dziś rano nie zamieniła z nim nawet dwóch słów, a po południu złapała torebkę, komputer i wyszła, gdy tylko stanął w drzwiach. Niewiele brakowało, a by ją zatrzymał. Omal nie złapał jej za rękę i nie zmusił, żeby na niego spojrzała. Żeby go zobaczyła. Ale zawarli umowę. Dla dobra wszystkich zaangażowanych lepiej się jej trzymać.

Bez względu na to, ile go to kosztuje.

Wiedział, że nie powinien się skarżyć. W końcu Michelle przejęła część jego obowiązków w chwili, gdy najbardziej tego potrzebował. Bliźniaczki są szczęśliwe. Cały dzień ktoś z nimi jest i troskliwie się nimi opiekuje.

Lecz jakaś zdradziecka część jego osoby domagała się więcej. Chciał z nią rozmawiać. Trzymać ją w ramionach. Dotykać. Kochać się z nią. Chciał się dowiedzieć, dlaczego dziesięć lat temu spakowała się i zniknęła z jego życia.

Zatrzymał się w progu salonu. Jego wzrok natychmiast odszukał Michelle. Tak, jakby stanowiła jedyne źródło ciepła w pokoju. Jakby na całej ziemi nie było nikogo ani nic innego, na co warto byłoby patrzeć.

Siedziała na kanapie z brązowego zamszu z jedną nogą podwiniętą pod siebie. Miała rozpuszczone włosy. Opadały na ramiona falami niczym miękkie i ciemny aksamit. Jej skóra niemal promieniowała. W oczach odbijały się płomienie z kominka.

Chyba wyczuła jego obecność, bo odwróciła się od swojej rozmówczyni i spojrzała prosto na niego. Ich oczy się spotkały. Nawet przez odległość pokoju poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go w splot słoneczny.

Mijały chwile. Zapadła cisza. A oni wciąż się w siebie wpatrywali.

- Eee, przepraszam - przerwał milczenie Flynn Sinclair.

- Może chcielibyście zostać sami?

- Daj spokój, Flynn - powiedziała jego żona, Emma, z wyraźną dezaprobatą.

Michelle odwróciła wzrok i zaczęła nerwowo poprawiać dżinsową spódnicę.

- No, chodź, Sam, siadaj - odezwał się Justin Bond. - Napij się czegoś?

Sam potrząsnął głową tak energicznie, jakby właśnie wychodził z wody. Wszedł do pokoju. Postawił na podłodze torbę z pieluszkami. Kiwnął głową i powiedział:

- Tak, piwo by mi świetnie zrobiło.

- Już się robi. - Justin wstał i podszedł do barku. Wyjął butelkę z lodówki i podał ją Samowi. - Miranda mówiła, że przyjdiesz z obiema dziewczynkami. - Zrobił zakłopotaną minę. - Gdzie druga?

- Z Mirandą. Był mały wypadek.

- Och, to ja pomogę - powiedziała natychmiast Michelle i zerwała się z kanapy. Uciekła z pokoju z pochyloną głową. Gdy go mijała, nozdrza Sama podrażnił zapach jej perfum.

Zagryzł zęby. Napił się piwa. Przełykał wolno, jakby to było jakieś okropne lekarstwo.

Nie pomogło.

Wszyscy wrócili do przerwanej rozmowy. Sam kołysał Beth na kolanach i wodził wzrokiem po twarzach ludzi zebranych w pokoju. Justin Bond i Emma Sinclair to dzieci Mirandy Fortune. Oddała ich do adopcji, ponieważ sama była wtedy praktycznie dzieckiem. Dopiero niedawno ich odnalazła. Teraz oni również zaczynali się przyzwyczajać do tego, że są częścią klanu Fortune'ów. Kuzyni, pomyślał Sam kręcąc lekko głową.

Człowiekowi, który większość życia spędził samotnie, trudno było się przyzwyczaić do nagłych tabunów krewniaków. Ale starał się, jak mógł.

- Zdradźcie mi - zaczął Sam, zsuwając się na podłogę i sadzając sobie Beth między wyciągniętymi na całą długość nogami. - Co to za okazja? Miranda zamierza konsultować plany weselne z nami wszystkimi?

Justin i Emma spojrzeli po sobie. Sam dostrzegł w nich pewne podobieństwo. W końcu to bliźniaki. Pogłaskał Beth po plecach i zaczął się zastanawiać, jak musi się czuć rodzeństwo, które dopiero niedawno dowiedziało się nawzajem o swoim istnieniu. Obserwował bliskość Beth i Marie. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, że można by je rozdzielić.

Do ich uszu dobiegł stłumiony dźwięk dzwonka. Emma

i Justin zeszytnieli. Oboje byli wyraźnie zdenerwowani. Sam zaczął się zastanawiać, co tu się, do diabła, dzieje?

- To musi być on - mruknął Justin.

- Kto? - zapytał Sam, ale nikt mu nie odpowiedział.

Dorośle bliźnięta wstały zgodnie i spojrzały wyczekująco w stronę drzwi.

Wtedy do pokoju wróciła Miranda, za nią Michelle z Marie na rękach oraz Daniel Smythe. Starszy mężczyzna wyglądał na równie zdenerwowanego, jak ludzie oczekujący go w salonie. Miranda ujęła jego dłoń i ścisnęła ją mocno.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział Daniel chropawym głosem i wbił wzrok w Justina i Emmę. - Zamierzałem zjawić się tu przed wszystkimi, ale coś mi wyskoczyło i...

- Danielu - powiedziała łagodnie Miranda. - To nieistotne. Ważne, że teraz jesteśmy już w komplecie.

- Masz słusność - przyznał jej rację i skinął głową.

Następnie wyprostował się i uniósł brodę.

Sam odniósł wrażenie, że on, Michelle, Flynn i żona Justina, Heather są tu zbyt tacy. Rzecz dotyczyła tylko tamtej czwórki. A jednak ani on, ani pozostali nie mogli oderwać od nich wzroku.

- Justinie - powiedziała Miranda. - Emmo. - Zamilkła, uśmiechnęła się nerwowo do mężczyzny, za którego wkrótce miała wyjść za mąż, i dodała: - Poznajcie swojego ojca.

Justin i Emma ścisnęli się za ręce i razem stanęli przed człowiekiem, dzięki któremu istnieli.

Sam wstrzymał oddech, podobnie jak wszyscy inni w po-

koju. Daniel puścił rękę Mirandy i zrobił krok, potem jeszcze jeden, w stronę swoich dzieci, o których istnieniu do niedawna nie miał pojęcia. W jego wielkich oczach błyszczały łzy. Zagryzł mocno dolną wargę, próbując powściągnąć emocje.

- Nie wiedziałem - powiedział, patrząc to na jedno, to na drugie ze swoich dzieci. - Gdybym tylko wiedział, mógłbym. .. moglibyśmy... - Głos mu się załamał.

Gdybanie nic już teraz nie mogło zmienić. Liczyła się terazniejszość i to, co mogą wspólnie zbudować w przyszłości.

Emma przełamała się pierwsza. Czułe serce kazało jej zrobić dokładnie to, co należało. Puściła dłoń brata, podeszła do ojca i bez słowa się do niego przytuliła. Przez długą, wypełnioną ciszą chwilę po prostu go obejmowała. Daniel oparł podbródek o czubek jej głowy. Na jego twarzy rozlał się z wolna uśmiech, który zdolny byłby wzruszyć nawet serce z kamienia. W końcu Emma cofnęła się i uśmiechnęła do niego.

- Cześć, tato - powiedziała łagodnie.

Daniel pociągnął nosem, potarł oczy ręką, po czym powiedział:

- W moich uszach to brzmi jak niebiańska muzyka, skarbie. Po czym wyprostował się i spojrzał na syna. Znowu zapadła cisza.

- Tato? - Justin zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę.

Daniel wypuścił długo wstrzymywany oddech i uściśnął mocno dłoń Justina, po czym z pewnym wahaniem go objął. Ten widok był tak samo poruszający, jak milczące wyznanie Emmy.

Powietrze w pokoju było aż gęste od emocji. Urok prze-
rwała Marie, która pisnęła głośno. Miranda podeszła do męż-
czyzny, którego kochała, straciła i teraz odzyskała.

- Nareszcie - powiedziała głosem, w którym wyraźnie
było słycać, jaka jest szczęśliwa. - W końcu cała nasza
czwórka jest razem.

Flynn i Heather podeszli do swoich małżonków. Gdy po-
grążyli się w rozmowie, Sam przeniósł wzrok na Michelle.

Trzydzieści lat, pomyślał. Od chwili gdy Daniel i Miranda
się pokochali, minęło ponad trzydzieści lat. A jednak ich
miłość przetrwała. Dojrzała. Zatoczyli pełne koło.

Za niecały miesiąc zostaną mężem i żoną. Pokonali stare
urazy i zdrady, stworzyli razem coś nowego. I cennego.

Patrzył na Michelle i zastanawiał się...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pół godziny później Michelle poszła za Mirandą do kuchni. Gospodyni wyjęła z ogromnej lodówki talerz steków. Postawiła go na szafce z granitowym blatem, zatrzasnęła lodówkę i posłała Michelle zmieszane spojrzenie. Otarła łzę z policzka i powiedziała:

- Mam nadzieję, że nie wprawiliśmy was w zakłopotanie.
- Nie - skłamała Michelle. - Wcale.

Lecz oczywiście czuła się zakłopotana. Niezręcznie było przyglądać się czemuś tak prywatnemu i wzruszającemu, jak spotkanie Daniela z dziećmi. Choć jednocześnie czuła się niemal zaszczycona, że mogła być świadkiem tak cudownej sceny. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak musi się czuć Daniel. A bliźnięta? Jak to jest, gdy się w końcu, po latach, poznaje swojego ojca?

Na tym tle życie Michelle wydawało się niemal śmiertelnie nudne i normalne. Dwoje rodziców, dom na przedmieściu, szczęśliwe dzieciństwo. Od razu zapragnęła do nich zadzwonić. Ale ponieważ podróżowali gdzieś swoim samochodem kempingowym - czy też, jak go nazywał jej ojciec, samochodem emeryckim - mogła tylko spróbować złapać ich pod komórką mamy. Pomyślała, że zrobi to później.

- To nie miało być tak. Dokładnie zaplanowałam cały wieczór - ciągnęła dalej Miranda, co wyrwało Michelle z marzeń na jawie. - Daniel miał zjawić się wcześniej. Jeszcze przed tobą i Samem - opowiadała, otwierając i zamykając szafki w poszukiwaniu jakiejś tajemniczej rzeczy. - Ale, oczywiście, nie przyszedł na czas. A, szczerze mówiąc - przerwała i spojrzała na Michelle. - Nie miałam serca kazać mu czekać na spotkanie z dziećmi choćby minutę dłużej.

- Pewnie. - Miranda oparła się o zimny blat kuchenny i zacisnęła na nim palce. Przypomniała sobie wyraz twarzy Daniela. - To musi być niesamowite uczucie.

- Co?

- Ty i Daniel, wreszcie znowu razem. I z dziećmi.

Miranda wyciągnęła z szuflady długi widelec i odwróciła się do Michelle.

- Nawet nie masz pojęcia - powiedziała cicho, tęsknie. - To jest jak sen. Aż się boję, że zaraz się obudzę. Gdybyś mi rok temu powiedziała, że coś takiego się wydarzy, to bym cię wyśmiała. - Pokręciła głową i położyła sobie dłoń na dekolcie ozdobionym gustownym złotym łańcuszkiem. - A tu proszę! Za miesiąc nasz ślub. I zaraz zjemy kolację z dziećmi.

W jej oczach znowu stanęły łzy. Michelle podeszła do niej szybko, otoczyła ją ramionami i uścisnęła.

- Głupio tak w kółko płakać - mruknęła Miranda.

- Wcale nie - odparła z uśmiechem Michelle. - To najzupełniej zrozumiałe. Jesteś szczęśliwa. Cieszę się, że mogę w tym uczestniczyć.

Miranda zdławiła łzy i odsunęła się.

- Dziękuję ci, kochanie. Jesteś wspaniała.

Michelle poczuła łzy napływające do oczu. Jeszcze trochę, a ona i Miranda wypłyną z kuchni niesione rzeką łez szczęścia. Dlatego, żeby trochę rozluźnić emocjonalne napięcie, rzuciła żartem:

- Wiesz, wczoraj mówiłaś, że kucharka odeszła. - Spojrzała znacząco na talerz grubych na trzy palce steków. - Czyba nie zamierzasz gotować sama, co?

Sztuczka natychmiast zadziałała. Miranda parsknęła beztroskim śmiechem.

- Coś ty!?! Rzucimy tylko te steki na grill. To proste. Do licha, przecież Teksasńczycy mają grillowanie we krwi, prawda?

Michelle pokiwała z uśmiechem głową. Miranda kręciła się chaotycznie po kuchni, która wyraźnie stanowiła dla niej obce terytorium. Lecz to przecież zrozumiałe. Dorastała w domu pełnym gospoń, kucharek i szoferów. Fortune'owie żyli w innym świecie niż reszta ludzkości, pomyślała Michelle. A teraz Sam, czy mu się to podoba, czy nie, stał się jednym z nich. Nie do końca wiedziała, co o tym myśleć.

Miranda złapała butelkę z sosem barbecue i powiedziała:

- No, dobrze. Zaniose te steki Danielowi. Niech mężczyźni zajmą się gotowaniem. Oni po prostu przepadają za pieczeniem surowego mięsa na otwartym ogniu. Odzywa się w nich instynkt jaskiniowców. - Uśmiechnęła się konspiracyjnie i dodała: - W lodówce są drinki. Weź coś dla siebie i Sama, a potem przyjdź do nas, na dwór.

- Zaraz będę - zapewniła ją Michelle.

Miranda wyszła, a Michelle przez dłuższą chwilę gapiła się w kołyszące się drzwi wahadłowe.

Coś dla Sama, tak? Był drobny problem. Nie miała zielonego pojęcia, na co on może mieć ochotę.

Sam siedział na fotelu między łóžeczkami i patrzył na śpiące dziewczynki. To był wielki dzień, pomyślał. Przynajmniej dla Daniela i Mirandy. Nie wspominając o Justinie i Emmie.

Być może jest już za późno, by stali się taką rodziną, jaką mogliby być. Ale przynajmniej mieli szansę się poznać. I uczestniczyć w swoim życiu.

- A tylko to się liczy, prawda? - zapytał na głos.

Rodzina. Do licha, w ciągu ostatnich kilku miesięcy koło niego nagle aż się zaroilo od krewnych. I mimo że często wprawiali go w zakłopotanie, musiał przyznać, choćby tylko przed samym sobą, że miło jest należeć do takiej ogromnej rodziny.

Zresztą nie chodziło mu tylko o Fortune'ów. Jego myśli podążały w innym kierunku. Tam, gdzie nie powinny. Koncentrowały się na Michelle. Skoro Daniel i Miranda mogli do siebie wrócić po ponad trzydziestu latach, to czemu on i Michelle nie mogliby po dziesięciu?

- Nie bądź idiotą - powiedział do siebie surowo. - Nic się tak naprawdę nie zmieniło. Zostawiła cię dziesięć lat temu. Jaką masz gwarancję, że nie zrobi tego znowu?

Nagle przed oczami stanęła mu Michelle. Jęknął cicho. Pragnął jej. Duszą i ciałem. Przypomniał sobie wyraz jej

twarzy, gdy wpatrywała się w niego, w pokoju pełnym ludzi. Wyczytał w tych fiołkowych oczach różne uczucia, lecz nie miał pewności, czy widzi je, bo chce je widzieć, czy też dlatego, że naprawdę tam są.

Jedyne, co nie ulegało wątpliwości, to fakt, że tylko lata żelaznej, wojskowej dyscypliny powstrzymały go przed podejściem do niej i porwaniem jej w ramiona. Pragnął jej z taką siłą, że bolał go każdy nerw.

Od ich ostatniej wspólnej nocy to pragnienie jeszcze przybrało na sile. Lecz wbrew temu, czego chciało ciało, mózg nie przestawał go ostrzegać, nakazywać mu, by trzymał się od niej z daleka. Nie mógł ryzykować. To się nie może powtórzyć. Teraz stawka była wyższa. W grę wchodziło nie tylko serce - i życie -jego i Michelle. Nie zamierzał stawiać na szali szczęścia Beth i Marie.

Ich potrzeby liczą się najbardziej.

Jedna z dziewczynek pociągnęła przez sen noskiem, co wyrwało go z zamyślenia. Spojrzał na Marie. Zmarszczył czoło. Może to początek jakiejś choroby? To pytanie wywołało prawdziwą lawinę myśli. Co będzie, jeśli któraś z nich się rozchoruje? Poważnie? Co on wtedy pocznie? Był samotnym ojcem. Jak ma pogodzić opiekę nad nimi z pracą, którą musi wykonywać, żeby zapewnić im utrzymanie? I jak sobie poradzi z obowiązkiem wyjazdów na manewry?

Jak sobie radzą samotne matki?

Nie był zupełnie sam. Miał dookoła ludzi, na których, w sytuacji krytycznej, mógł liczyć. Lecz wciąż pozostawała kwestia opieki nad dziećmi na czas jego wyjazdu.

Jęknął cicho i zamknął oczy.

- Nie wiem, dziewczynki - wyszeptał, opierając głowę na zagłówku fotela. - Jak na razie pytań jest zdecydowanie za dużo, a odpowiedzi za mało. Ale obiecuję wam, że coś wymyślę. Możecie na mnie liczyć. Nie zawiodę ani was, ani waszego taty.

Wsluchując się w oddechy pogrążonych we śnie dzieci, Sam również zasnął. I śnił o Michelle.

Przyzwyczaili się do takiego układu. Minęły dwa tygodnie, jeden dzień podobny do drugiego. Codziennie rano w drzwiach stawała Michelle z laptopem w ręce, a Sam wychodził do pracy.

Gdy wracał do domu, od progu wiał go zapach kolacji, a zaraz potem dwie roześmiane buzie, uszczęśliwione, że go widzą. Chwila nerwowej rozmowy z Michelle i ona zaraz znikała, jakby gonili ją wszyscy diabli.

Dwa tygodnie i nic się nie zmieniło. A jednak, pomyślał, wchodząc na werandę, zmieniło się wszystko.

On się zmienił. Nie mógł się doczekać powrotu do domu. Spieszył się nie tylko do dziewczynek.

Z każdym dniem coraz trudniej było trzymać się zakazu dotykania. Gdy widział Michelle, opanowywało go nieprzeparte pragnienie, żeby złapać ją w ramiona i pocałować. Sytuację jeszcze bardziej utrudniała świadomość, że ona również tego pragnie. Wyrażały to jej oczy, twarz, mowa ciała.

Zatrzymał się na werandzie i przez chwilę z rozkoszą wdychał dochodzący z kuchni aromat pieczonego kurczaka.

Usłyszał głos Michelle. Śpiewała dzieciom piosenkę. Któreś z nich zaczęło zawodzić do wtóru. Uśmiechnął się. To musiała być Marie, która była bardziej spontaniczna.

Osobowości bliźniaczek zaznaczały się coraz wyraźniej. Sam nie potrafił zrozumieć, jak mógł w ogóle mieć problemy z ich rozróżnieniem. Czarne litery wypisane flamastrem na stopkach dawno zniknęły. Podobnie jak wspomnienia o jego cichszym, samotnym życiu przed pojawieniem się dzieci.

Był ich ojcem.

Uświadomienie sobie tego prostego faktu zważyło go z nóg. Jakby ktoś przyłożył mu lewym sierpowym.

Dave i Jackie zawsze będą ich biologicznymi rodzicami, ale teraz ojcem bliźniaczek był on, Sam Pearce. Nie mógłby kochać ich bardziej, gdyby w ich żyłach płynęła jego krew. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić życia bez nich.

Nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Skrzypienie zawiasów zabrzmiało w jego uszach niczym wspaniała symfonia. Ten prosty, irytujący dźwięk oznaczał jedno: dom. Nigdy się tak naprawdę nie spodziewał, że będzie go miał.

Michelle przerwała śpiew. Sam westchnął i pokręcił głową. Zaraz złapie swoje rzeczy i wybiegnie za drzwi. Do licha, są przecież dorosłymi ludźmi. Na pewno potrafią trzymać przez kilka minut hormony na wodzy.

- Tatuś wrócił - usłyszał jej głos.

Serce mu się ścisnęło. Ruszył do pokoju dzieciennego. Tatuś.

Zatrzymał się w progu. Michelle odwróciła się w jego stronę ze słabym uśmiechem.

- Cześć - powiedziała, a on usłyszał w tym pojedyn-
czym słowie wymuszoną wesołość. - Nie zauważyłam, kie-
dy zrobiło się tak późno.

- Wróciłem trochę wcześniej - powiedział, ale nie przy-
znał się, że zrobił to celowo.

Miał nadzieję... Na co?- zapytał sam siebie.

Kiwnęła głową i podniosła się z podłogi. Dziewczynki
siedziały w kojcu, otoczone pluszowymi zwierzakami i za-
bawkami.

- No, cóż - powiedziała i posłała dzieciom uśmiech. - Ko-
lacja pewnie jest już gotowa. Bliźniaczki już jadły, więc mogę...

- Zostań - wyrwało mu się, zanim zdołał się powstrzymać.

- Słucham?

- Zostań na kolację - dokończył niezręcznie.

Dlaczego nagle tak trudno mu się rozmawia z kobietą,
którą tak dobrze zna? Przecież jego ręce i usta zbadaly każdy
zakątek jej ciała. Wiedziały, jak dać jej rozkosz. Wiedział
o niej wszystko, powtarzał sobie. Wszystko, poza przyczyną,
dla której od niego odeszła.

To nadal bolało, ale teraz nie czas na rozmowę na ten
temat. Gdyby spróbował, pewnie błyskawicznie by stąd znik-
nęła, a tego naprawdę nie chciał.

- Sama nie wiem - odpowiedziała, obciągając ciemno-
czerwoną tunikę, którą włożyła do džinsów.

- Czemu nie? - zapytał. - I tak musisz coś zjeść. Jestem
pewien, że starczy dla nas dwojga. Zawsze tyle tego przygo-
towujesz.

- No, tak - powiedziała. - Ale, Sam...

- Tylko kolacja - uspokoił ją.
- Tylko kolacja?
- I może mała rozmowa. - Przejechał dłonią po głowie.
- Na litość boską, Michelle. Chyba jesteśmy w stanie zjeść razem posiłek, nie rzucając się na siebie?

Zarumieniała się. Sam poczuł temperaturę jej reakcji nawet z odległości paru kroków. Do licha, to, co jest między nimi, to silna rzecz. Nigdy w życiu się z czymś takim nie zetknął.

- Zostań - powtórzył głosem zduszonym od emocji. - Zjedz ze mną kolację.

Spojrzała mu prosto w oczy. Przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę myślała, że odmówi. Ale w końcu kiwnęła głową i powiedziała po prostu:

- Dobrze.

Jest aż zbyt przytulnie, pomyślała dwadzieścia minut później, gdy siedzieli naprzeciwko siebie przy stole. Oczywiście biło to na głowę spożytą w samotności kolację w domu. Byłoby to coś mrożonego, odgrzanego w mikrofalówce. Gotowała dla Sama, bo sprawiało jej to przyjemność. Gotowanie dla siebie wydawało się ciężką pracą.

Przed śmiercią męża lubiła gotować. Ale odkąd została sama, uważała, że to zawracanie głowy.

Trochę martwił ją fakt, że drobne prace wykonywane dla Sama sprawiają jej taką przyjemność.

Żeby oderwać od tego myśli, zapytała:

- Przyjąłeś ostatnio jakichś ciekawych ludzi do piechoty morskiej?

Parsknął śmiechem. Przełknął kawałek kurczaka i powiedział, śmiejąc się:

- Dzisiaj mi się trafił niezły egzemplarz.

Uśmiechnęła się.

- Opowiedz.

Sam oparł łokcie na stole i zaczął:

- Dzieciakowi spodobał się pomysł noszenia munduru.

Według niego można na to podrywać panienki.

Kiwnęła z namaszczeniem głową, ale wargi drżały jej w powściąganym uśmiechu.

- Mówię teraz w imieniu moich koleżanek, panienek.

Gość ma sporo racji.

Uniósł ciemne brwi.

- Zapamiętam to sobie. W każdym razie - ciągnął dalej - chłopak marzył o mundurze. Chciał też mieć pewność, że przekazemy jego sierżantowi od musztry, iż nie przepada za wczesnym wstawaniem.

- Żartujesz?

- Wcale - odparł szczerząc zęby w uśmiechu. - Pan Rekrut domagał się gwarancji, że nie będzie musiał wstawać przed dziewiątą. Poprosił mnie jeszcze, żebym wpisał w jego papiery, że nie bardzo lubi chodzić, więc wolałby być od razu przypisany do dżipa.

- Pewnie bardzo ci się to spodobało - powiedziała Michelle, wyobrażając sobie reakcję Sama.

- Owszem. To był doskonały kandydat.

- I co mu powiedziałeś?

- Powiedziałem mu, że jeśli zależy mu na tego rodzaju

wojskowej karierze, powinien wstąpić do marynarki wojennej, a nie do piechoty morskiej.

Oboje parsknęli śmiechem. Ten dźwięk był jak łagodny, czysty deszcz po długim okresie suszy.

- Brakowało mi tego - przyznał cicho.

Uśmiech Michelle z wolna zbladł. Spojrzała prosto w te jego zielone oczy. Wiedziała, że powinna wyjść. I to szybko, zanim zrobi coś głupiego. Na przykład wyciągnie do niego ręce i poprosi, by wziął ją w ramiona. Lecz jednocześnie nie była w stanie wyjść.

- Mnie też cię brakowało, Sam - powiedziała.

- Wyobrażałem nas sobie w takiej sytuacji, z gromadką dzieci biegających po domu.

- Wiem - powiedziała cicho. - Zawsze wiedziałam, że bardzo chcesz mieć rodzinę.

- Obiecałem sobie, że o to nie zapytam...

- Więc nie pytaj - weszła mu szybko w słowo. - Nie oglądaj się za siebie.

- Tylko to mamy, Michelle - oznajmił łagodnie. - Nie mamy wspólnego teraz, a dziesięć lat temu powiedziałaś, że nie ma przed nami przyszłości. Mamy tylko przeszłość.

- W takim razie nie mamy zupełnie nic.

Zerwała się od stołu. Wcale się nie zdziwiła, że on też wstał.

Położył dłoń na jej ramieniu. Poczekał, aż podniosła na niego wzrok.

- Nie rób mi tego.

- Czego?

- Nie trzymaj się ode mnie na dystans.
- Sam, to niczego nie rozwiąże.

Cokolwiek zamierzała powiedzieć, nie powiedziała tego, bo nagle ktoś zapukał do drzwi. Spojrzeli po sobie zaskoczeni.

Sam się nachmurzył, pokręcił głową. Był wściekły. Puścił ją i ruszył w stronę drzwi. Otworzył je, przez chwilę z kimś rozmawiał przyciszonym głosem. Chwilę później wrócił do salonu. W ręce trzymał urzędową kopertę.

- Co to? - zapytała, obchodząc stół dookoła i podchodząc do niego.

- List polecony - odpowiedział, nie odrywając wzroku od koperty. - Z jakiejś kancelarii prawnej.

Spojrzał na nią. W jego oczach dostrzegła zaniepokojenie.

- Otwórz.

- Tak, trzeba otworzyć.

Rozerwał kremowy papier i wyciągnął ze środka list. Rozwinął go, przeczytał raz, potem drugi. Gdy podniósł na nią wzrok, zobaczyła targające nim emocje, z których najsilniejsza była czysta furia.

- Co to jest?

Serce biło jej w oszalałym tempie, żołądek podskoczył do gardła. Wzięła od niego list, chociaż dobrze wiedziała, że to nie jej sprawa.

Tymczasem on streścił go jednym zdaniem:

- Rodzice Dave'a, dziadkowie bliźniaczek, zamierzają wystąpić o przyznanie im praw do opieki nad dziewczynkami.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Nie mogą tego zrobić - powiedziała Michelle. Przeczytała uważnie dokument, po czym podniosła wzrok na Sama.

- Prawda?

- Najwyraźniej uważają, że mogą - wydusił przez zaciśnięte zęby.

Spojrzała w stronę ciemnego holu prowadzącego do pokoju, w którym bawiły się dwie małe dziewczynki, zupełnie nieświadome tego, że ich świat właśnie zatrzęsł się w posadach. Wolno odwróciła głowę. Opadła na najbliższe krzesło.

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć - powiedziała cicho.

- Ja też.

Krążył po pokoju jak dzikie zwierzę zamknięte w klatce i zastanawiał się.

Czuła emanujący z niego gniew. Wściekłości towarzyszyła również frustracja. Obawa. Trudno się było dziwić.

Michelle dobrze wiedziała, jak bardzo żył się z bliźniaczkami w ciągu tych kilku tygodni. Zdawała sobie sprawę, ile dziewczynki dla niego znaczą. I ile znaczą dla niej samej.

- Co zamierzasz zrobić?

Spojrzał na nią przelotnie.

- Sam nie wiem.

- No, cóż - zaczęła stanowczym tonem, ściskając papiery, które wciąż trzymała w ręce. - Nie możesz pozwolić im zabrać dziewczynek.

- Tego nie musisz mi mówić.

W jego głosie słychać było gniew. Aż się dławził od targających nim emocji.

- W takim razie musisz mieć jakiś plan.

- No, tak, ale pewnie na ułożenie planu będę potrzebował więcej niż dziesięć sekund - warknął z sarkazmem.

- Hej, ja jestem po twojej stronie, pamiętasz?

Zerwała się na równe nogi. Nie była w stanie siedzieć spokojnie. Ona również musiała się ruszać, chodzić po pokoju. Chciałaby porwać dziewczynki na ręce i uciec aż na koniec świata, żeby ci anonimowi dziadkowie nie mogli ich odnaleźć.

Tymczasem Sam zatrzymał się, westchnął i wyrzucił z siebie:

- Wiem. Rzecz w tym, że...

- Potrzebny ci ktoś, na kogo mógłbyś się wykrzyczyć.

- Chyba tak - przyznał. - Ale wcale mi nie pomogło.

Uśmiechnęła się. Sam poczuł sitae, słodkie uklucie w sercu. Była po jego stronie. Zależało jej na dzieciach nie mniej niż jemu. Nie wiedzieć czemu ta świadomość sprawiła, że zrobiło mu się nieco lżej na duszy.

Zapomniał o umowie, poddał się instynktowi i wyciągnął do niej rękę. Potrzebował czegoś - kogoś - na kim mógłby się wesprzeć. Otoczył ją ramionami i przytulił mocno do

siebie. Ona również go objęła. Głaskała go po plecach. Chciała go pocieszyć, podnieść na duchu. Wdychał zapach jej perfum. Stapiali się w jedno.

- Coś wymyślimy - powiedziała.

- Tak - odparł. Chciał jej uwierzyć.

Oparł brodę na czubku jej głowy i zapatrzył się w ścianę naprzeciwko.

- Musimy się zastanowić, Sam - ciągnęła dalej. - We dwójkę na pewno sobie z tym poradzimy.

Westchnął.

- Mam nadzieję.

- Mają duże szanse wygrać - powiedziała następnego dnia rano prawniczka Fortune'ów, gdy przejrzała dokumenty, z którymi przyszedł do niej Sam.

Sandra Butler była starszą kobietą. Miała krótko ostrzyżone, siwe włosy i inteligentne, niebieskie oczy, z których promieniował spokój.

- Ale przecież Dave i Jackie mnie wyznaczyli na opiekuna - odparł na to, starając się powściągnąć gniew, który cały czas nim targał. - Nie spodziewali się śmierci, ale wyraźnie chcieli, żebym w takim przypadku to ja zajął się dziewczynkami. A nie jego rodzice. Wiem od Dave'a, że gdy przyszedł na świat, jego rodzice byli już po czterdziestce. Do diabła, znacznie przekroczą osiemdziesiątkę, gdy dziewczynki będą nastolatkami.

- Rozumiem, sierżancie - powiedziała prawniczka i zdjęła swoje okulary w złotych oprawkach.

Odłożyła je na wypolerowane biurko, splótła dłonie i uśmiechnęła się do niego. To miał być uśmiech dodający otuchy. A w każdym razie takiej intencji domyślił się Sam.

Następnie pani Butler wstała, obeszła biurko i usiadła w fotelu obok niego. Skrzyżowała nogi, obciągnęła spódnicę na kolanach i zanim znów się odezwała, przez dłuższą chwilę przyglądała się Samowi.

- Rodzice pana zmarłego przyjaciela twierdzą, że jako samotny mężczyzna nie może pan zapewnić bliźniaczkom odpowiedniej opieki. Według nich ma pan niepewną pracę.

- Niepewną? - Prychnął szyderczo. - Mam niniejsze szanse stracić pracę niż przeciętny cywil.

- To prawda - powiedziała, nie przestając się do niego uśmiechać. - Ale na pewno wytkną w sądzie, że jako żołnierz piechoty morskiej będzie pan musiał opuszczać dzieci na długie okresy.

- Rozwiążę ten problem - powiedział szybko. - Muszę znaleźć kogoś odpowiedzialnego, kto będzie mógł się nimi zajmować. A jeśli nie znajdę, to wystąpię z piechoty. Pracuję nad tym.

- To dobrze - pokiwała głową. - Im szybciej pan to załatwi, tym lepiej.

- Wiem.

- Szkoda, że nie jest pan żonaty - zadumała się. - Nawet w dzisiejszych czasach ludzie wolą, by dzieci wychowywały się w tradycyjnym domu.

- Żonaty? - powtórzył.

- Tak by było najlepiej - powiedziała łagodnie. - Roz-

więzałoby to również problem opieki nad dziećmi podczas pana wyjazdów na manewry.

W głowie rozpętała mu się burza myśli.

- Fakt, że należy pan do rodziny Fortune'ów, na pewno też będzie miał swoje znaczenie.

Lekko zeszywniał.

- Fortune'owie nie mają tu nic do rzeczy - oznajmił.

- Sprawa dotyczy rodziców Dave'a i mnie.

Pani Butler pokręciła głową.

- Niech się pan głupio nie upiera, sierżancie. Jeśli chce pan zatrzymać dzieci, nie powinien pan się cofnąć przed użyciem żadnego argumentu, który może się okazać pomocny. Musimy zmierzyć się z dziadkami bliźniaczkami możliwie najlepiej przygotowani.

- Zgadzam się w całej rozciągłości.

- Więc, na litość boską, niech się pan pogodzi z faktem, że nazwisko Fortune'ów ma swoją wagę w każdym sądzie, i niech pan to wykorzysta.

To się klóciło z jego zasadami. Był człowiekiem, który sam staczał swoje bitwy. Do licha, już fakt, że zadzwonił do Ryana Fortune'a i poprosił o pomoc w znalezieniu prawnika, świadczył o jego desperacji. Lecz skoro już miał prawnika, to może dobrze by było posłuchać jego rad. Rzecz w tym, że nie przywykł prosić o pomoc.

Ale skoro dziewczynki są dla niego ważne, musi zrobić wszystko, co się da, by mu ich nie odebrano. Nie ma sensu ruszać do walki bez amunicji. Pokiwał głową. Podjął decyzję. Zrobi wszystko, żeby wygrać. Prawnik. Fortune'owie. Trze-

ba traktować proces jak akcję militarną. Należy zebrać siły, obmyślić plan, po czym stanąć do walki.

A potem do głowy przyszło mu coś jeszcze. Pomysł był tak szalony, że po prostu musiał wypalić.

- Pobrać się? - zapytała Michelle. Była pewna, że źle go usłyszała. - Chcesz, żebyśmy się pobrali?

- Tak - odparł wojowniczo Sam. - I to szybko.

Cały rano o tym rozmyślał. To było jedyne sensowne rozwiązanie.

- Jako żonaty mężczyzna prawdopodobnie dostanę prawa do dzieci. Będę też kryty w kwestii piechoty morskiej. Potrzebny mi ktoś, kto zajmie się dziećmi, gdy ja wyjadę na manewry.

To nie było łatwe. Prosił o rękę kobietę, która już raz odrzuciła jego oświadczenia. Ale to był najlepszy pomysł, jaki przyszedł mu do głowy. Musiał to jak najszybciej załatwić.

- To czysty absurd - powiedziała i złapała swoją torebkę, która leżała na kanapie.

- Nic takiego. To nie absurd, to desperacja.

Spojrzała na niego z ukosa. Chyba czuła się zraniona. Lecz on nie da zbić się z tropu. Nie mógł się poddać. Nie tym razem.

- Posłuchaj - powiedział, kładąc jej rękę na ramieniu.

- Potraktuj to jak interes.

- Interes?

- Tak. - Mówił teraz bardzo szybko. Wykładał jej wszystko dokładnie tak, jak ułożyło mu się w głowie w biurze prawniczkich. - Nazwijmy to małżeństwem dla wy-

gody. Ja potrzebuję żony. A ty jesteś jedyną wiarygodną kandydatką. Moja prawniczka uważa, że jeśli będę żonaty i wykorzystam autorytet Fortune'ów, to sprawę opieki nad dziewczynkami można załatwić nawet bez procesu. - Sam ścisnął sobie głowę obiema rękami. - Do licha, nie mogę stracić bliźniaczek!

- Ale od razu małżeństwo, Sam?

- To jedyny sposób. - Wbił w nią wzrok. - Już raz mi odmówiłaś...

Wzdrygnęła się. Postanowił nie zwracać na to uwagi.

- Teraz sytuacja wygląda inaczej. To będzie małżeństwo tylko z nazwy. Tym razem nie chodzi o moją miłość do ciebie, lecz o naszą miłość do tej dwójki dzieci.

Zagryzła mocno dolną wargę. Jej spojrzenie złagodniało.

- Wiem, że ty też je kochasz, Michelle - powiedział, przechodząc w szept. - Pomóż mi stworzyć im dom.

Michelle spojrzała prosto w te zielone oczy i uświadomiła sobie, że nie ma wyboru. Musi się zgodzić. Jak mogłaby zrobić coś innego? Już raz powiedziała „nie” i zapłaciła za to wszystkim, na czym jej zależało. A teraz los podarował jej jeszcze jedną szansę. Byłaby głupia, gdyby z niej nie skorzystała.

Poza tym sytuacja rzeczywiście była inna, prawda? On już ma rodzinę, której tak bardzo pragnął. Mogłaby pomóc mu wychować dzieci, których razem mieć nie mogą. I być może, z biegiem czasu, Sam zrozumie, dlaczego przed laty od niego odeszła. A wtedy, zamiast skupiać się na zadawnionych urazach, będą mogli zbudować razem wspólną przyszłość.

Tylko czy powinna powiedzieć mu o Williamie? Nie, nie powinna. Nie teraz. Może później. Bała się reakcji Sama na wieść, że po odrzuceniu jego oświadczyn wyszła za kogoś innego. Mógłby dojść do wniosku, że lepiej poszukać innego sposobu na rozwiązanie aktualnego problemu. A tego nie chciała.

Sam czekał w napięciu. Przyglądał się jej, studiował jej twarz, wypatrując z nadzieją jakiegoś znaku.

Michelle wzięła głęboki, uspokajający wdech i skinęła głową.

- Dobrze, Sam. Wyjdę za ciebie.

Uśmiechnął się z ulgą. A ona mogła tylko mieć nadzieję, że postępuje słusznie.

Obojgu zależało na skromnym ślubie, lecz Miranda nawet nie chciała o tym słyszeć. Tak się ucieszyła ze ślubu bratanka ze swoją przyjaciółką, że nie dała sobie wyperswadować pomysłu na odprawienie ceremonii w rodzinnej posiadłości Fortune'ów. A ponieważ Michelle i Sam chcieli, by wszystko wyglądało jak najbardziej wiarygodnie, przystali na jej propozycję.

I tym sposobem, zaledwie w dwa tygodnie po oświadczeniach, Michelle stała przed ogromnym, kamiennym kominem w salonie Ryana, ubrana w zieloną suknię, ze stokrotkami we włosach. Miranda otarła łzę koronkową chusteczką. Z tyłu dobiegało gaworzenie bliźniaczek. Brakowało tylko rodziców Michelle, którzy byli gdzieś w New Hampshire - czego dowiedziała się z rozmowy telefonicznej. Przysłali

życzenia i obiecali zjawić się w Teksasie tak szybko, jak tylko się da.

Mała gromadka przyjaciół i krewnych otaczała Sama i Michelle, gdy składali przysięgę. Justin, który był drużbą, podał Samowi obrączkę, którą ten wsunął na palec Michelle. Klamka zapadła. W końcu zostali małżeństwem. Na dobre i na złe.

- Możesz pocałować pannę młodą - powiedział ksiądz, szczerząc do Sama zęby, niczym dumny ojciec.

- Już się robi.

Odwrócił się do niej i posłał specjalny, przeznaczony tylko dla niej uśmiech. A potem ją pocałował.

Ich wargi spotkały się na krótko, ale i to wystarczyło, żeby rozniecić przytłumiony żar. Sam pogłębił pocałunek. Brał, dawał, smakował, miazdzył ją w silnym uścisku. Poddał się pragnieniu, którego tak długo się wypierał. Trwałby tak całą wieczność, gdyby Ryan nie poklepał go w plecy.

- Starczy, już starczy - powiedział ze śmiechem. - Puść ją, bo się udusi. Ucałuj też swoich krewnych!

Wszyscy parsknęli śmiechem. Sam uniósł głowę i spojrzał Michelle prosto w oczy. Dostrzegł w nich tę samą namietność, to samo pragnienie. Wcześniej miał szczerzy zamiar traktować to jak interes, zgodnie z umową. Lecz teraz stracił pewność. Pobrali się, lecz czy to będzie prawdziwe małżeństwo? Czy zdoła pozbyć się nieufności? Czy pokocha ją jeszcze kiedyś tak, jak przed laty?

Te pytania pozostały bez odpowiedzi. Państwa młodych rozdzielili podeksytowani goście. Jeden po drugim podcho-

dzili do Sama, składali mu życzenia i gratulowali ożenku. A on nie spuszczał oczu z Michelle. Krążyła po pokoju, z otwartymi ramionami witana przez jego krewnych w rodzinie Fortune'ów.

- Szczęściarz z ciebie - odezwał się ktoś z prawej.

Spojrzał na Mirandę i uśmiechnął się. Jak zawsze, wyglądała pięknie.

- Tak - odparł. - Chyba tak.

Wzięła go pod rękę.

- Żadne „chyba”. Na pewno - dodała, śledząc wzrokiem Michelle, która właśnie odpowiedziała uśmiechem na coś, co powiedziała do niej Gabrielle. - Wystarczyło mi na was popatrzeć, gdy byliście u mnie na kolacji, i od razu wiedziałam, że to się musi tak skończyć.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Wiesz, nie miałam nic przeciwko pierwszemu mężowi Michelle, ale on był dla niej zdecydowanie za stary. Oczywiście jej samej nigdy bym tego nie powiedziała.

Pierwszy mąż?

Szum w uszach niemal zagłuszył słowa Mirandy. Michelle była już mężatką? Odrzuciła jego oświadczenia i wyszła za kogoś innego? Poczul ucisk w piersiach. Miał wrażenie, że nie może oddychać. Zmusił się do zadania cichego pytania:

- Nie była z nim szczęśliwa?

- Och, ona by pewnie powiedziała, że była - odpowiedziała z namysłem Miranda. - Ale moim zdaniem nie była. Gdy William kilka lat temu zmarł, Michelle zaczęła prowa-

dzić życie pustelnicy. - Odwróciła się do niego z uśmiechem i dodała: - Uratowałeś ją. Odezwała się krew Fortune'ów, płynąca w twoich żyłach.

- Na pewno - mruknął nieuważnie, choć w środku aż się gotował.

Dlaczego nic mu nie powiedziała?

- No, a teraz - powiedziała Miranda. - Nie musicie tu zostać z nami długo. Chata jest przygotowana na noc poślubną. Dziewczynkami zajmę sięja.

Pokiwał głową. Ustalili, że noc spędzą w chacie w posiadłości Fortune'ów. Małżeństwo miało wyglądać wiarygodnie, więc nie mógł bez podejrzeń odrzucić tej propozycji.

Miranda zniknęła w tłumie gości, zostawiając Sama z jego myślami. Gniew walczył z pożądaniem. W tej chwili nie był pewien, które uczucie jest silniejsze. Wiedział jedno - musi znaleźć się z Michelle sam na sam. Jak najszybciej.

Dookoła panowała nocna cisza. Szli do chaty. Michelle spojrzała na swoją lewą dłoń. Złota obrączka lśniła w świetle księżyca. Z daleka słychać było nawoływanie nocnych ptaków. Łagodny, chłodny wiatr muskał ich policzki. Wyszła za męża. Za mężczyznę, którego kochała chyba od zawsze.

A mimo to - spojrzała na niego - pan młody nie wyglądał na uszczęśliwionego. Do licha, od ceremonii nie zamienił z nią więcej niż dwa słowa. No, tak, przecież małżeństwo było prawdziwe tylko w oczach innych. Oni wiedzieli, że nie zmieni się nic poza jej adresem zamieszkania.

W oknach chaty, w której mieli spędzić noc poślubną,

palilo się światło. Zaczęła marzyć, żeby wszystko wyglądało inaczej. Tak bardzo by chciała, żeby to była prawdziwa noc poślubna.

Sam otworzył drzwi i wpuścił ją do środka przed sobą. Weszła i aż jej dech zaparło. Zwykłą chatę z drewnianych bali wypełniały tapicerowane meble, pełno było poduszek i ręcznie robionych dywaników. W kominku płonął wesoły ogień, a na małym stoliku stała butelka szampana w srebrnym wiaderku z lodem oraz dwa kryształowe wysokie kieliszki. Powietrze wypełniał aromat świeżych kwiatów: ciepłarianych róż i lawendy. Przez otwarte drzwi w końcu krótkiego korytarza widać było łóżko z baldachimem, na którym piętrzyły się puchowe kołdry i wielkie poduszki.

Poczuła ucisk w żołądku. To pożądanie. Fala rozchodziła się po całym jej ciele. Kolana się pod nią ugięły, w ustach zaschło. Czuła pulsujący ból w podbrzuszu. Wciągnęła powietrze do płuc. Miała nadzieję, że się w ten sposób uspokoi. Okazało się, że było jej to potrzebne. Bo Sam właśnie w tym momencie powiedział:

- Powiedz mi o Williamie.

Zdjął czapkę od munduru i rzucił ją z furią przez szerokość pokoju. Powstrzymywał gniew tak długo, jak tylko był w stanie. Czuł się zdradzony. Teraz wreszcie wydobędzie z niej odpowiedzi na pytania, na które dotąd nie chciała mu ich udzielić.

Michelle obróciła się na pięcie. Spojrzała na niego. Na jej twarzy odmalowało się niepomiernie zdziwienie.

- O Williamie? - zapytała bez tchu.

- Tak - naciskał szorstko. - Wiesz, o kim mówię. O twoim pierwszym mężu.

- O Boże.

Rozpinając mosiężne guziki kurtki munduru, dodał twar-
do:

- Miranda wspomniała, że nie byłaś szczęśliwa z pierwszym mężem, świętej pamięci Williamem. Ma nadzieję, że ze mną będziesz szczęśliwsza.

- Powinnam ci była powiedzieć - wyszeptła raczej do siebie, niż do niego i opadła na kolorową sofę.

- Pewnie, że powinnaś. - Zrzucił kurtkę i zapytał: - No, więc? Kiedy dokładnie za niego wyszłaś? Zaraz po tym, jak mnie rzuciłaś?

Pokręciła głową i otarła zablakaną łzę. Sam postanowił stanowczo, że nie da się łzom.

- Jakiś rok później - powiedziała.

- Jejku, jejku, czekałaś cały rok?

Minęło dwa lata, nim przestał o niej śnić co noc.

Najwyraźniej ona zapomniała o nim dużo szybciej.

Spojrzała na niego przelotnie, po czym znowu odwróciła wzrok.

- On był ode mnie dużo starszy. To był dobry człowiek. Łagodny...

- Nie chcę słuchać o biednym Williamie - warknął.

- Więc czego chcesz? - zapytała, zrywając się na równe nogi i stając przed nim.

- Chcę wiedzieć, dlaczego za niego mogłaś wyjść, a za mnie nie. - Złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie. - Dla-

czego? - powtórzył. - Mam prawo wiedzieć. Muszę wiedzieć, dlaczego mnie rzuciłaś i wyszłaś za jakiegoś podstarzałego faceta, który mógłby być twoim ojcem.

Wyrwała się, odrzuciła włosy do tyłu i spojrzała mu prosto w oczy.

- Bo on nie chciał mieć dzieci - powiedziała. - Już wcześniej miał rodzinę. Nie przejmował się tym, że ja...

- Że ty co?

- Że ja nie mogę mieć dzieci - dokończyła zduszonym głosem.

Oniemiały Sam wpatrywał się w nią przez długą chwilę. Potem z gardła wyrwał mu się ostry, niewesoły śmiech. Złapał się za głowę.

- I ty myślałaś, że ja bym się tym przejął? Że to by coś zmieniło?

- Zawsze chciałaś mieć dzieci - broniła się zawzięcie. - W kółko o tym mówiłaś. Kiedy się dowiedziałam, że nie mogę ci dać dzieci, to...

- ..wyrzuciłaś mnie za drzwi? - skończył za nią.

- Pozwoliłam ci odejść - poprawiła go. - Dla twojego dobra.

- Aha - pokiwał głową. - Porażająca logika. Dla mojego dobra zламаłaś mi serce.

- A myślisz, że mnie było łatwo? Wydaje ci się, że z radością patrzyłam, jak znikasz z mojego życia?

Pochylił się nad nią. Zmrużył oczy.

- Ale to zrobiłaś. Mnie nie zapytałaś o zdanie. Nie zaufałaś mi. Po prostu odeszłaś.

- Zrobiłam to dla ciebie - krzyknęła. - Żebyś mógł znaleźć kogoś innego. Założyć rodzinę, o której marzyłeś.

Ona naprawdę wierzy w to, co mówi, pomyślał z wściekłością. Na litość boską, wmówiła sobie, że wolałby mieć dzieci z kimś innym niż być z nią. Dla czegoś takiego zrezygnowała z życia, jakie mogli razem zbudować?

- To najgłupsza rzecz pod słońcem.

Spoliczkowała go. Zaskoczyło to ich oboje.

- Nie waż się tak mówić - powiedziała. - Zrobiłam to, co musiałam zrobić.

Uniósł dłoń do palącego od uderzenia policzka i poruszył szczęką.

- Nigdy nie słyszałaś o adopcji?

- Tak, ale...

- Mogliśmy mieć dzieci, Michelle. Nie musiałyby być przez nas spłodzone, żeby były nasze. Nie wydaje ci się, że to, co czujemy do bliźniaczek, doskonale tego dowodzi? Rany boskie! - krzyknął. - Ja sam byłem adoptowanym dzieckiem!

Roztarta sobie ramiona i mruknęła pod nosem:

- Postąpiłam właściwie. Nie chciałbyś ze mną być.

- Ale nigdy nie będziesz miała całkowitej pewności, prawda?

Pomyślał o zmarnowanych latach. Wściekał się na myśl o tym, co stracili. Lecz to do niczego nie prowadzi. Dziesięć lat, które mogli spędzić razem, już przeminęło.

Podniosła głowę do góry i spojrzała na niego przez łzy.

- Sam...

- Odrzuciłaś to - powiedział i przysunął się do niej. Po-

łożył jej obie ręce na ramionach i przyciągnął do siebie, aż musiała zadzierać głowę, żeby mu patrzeć w oczy. - Podjęłaś decyzję za nas oboje i pozbawiłaś nas wspólnego życia.

Z trudem łapała oddech. Po policzku popłynęła jej kolejna łza. Samowi serce zmiękło.

Zagryzł zęby, przytulił ją mocniej i zapytał:

- Czy łączyło cię z Williamem to, co było między nami?

Czy czułaś się przy nim tak, jak teraz?

Pocałował ją namiętnie. Rozdzielił wargi językiem, wchodził głębiej i głębiej. Chciał, żeby potwierdziła, że łączy ich coś wyjątkowego. Za czym oboje tęsknili.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się mocno. Otworzyła się przed nim, wtopiła w jego ciało. Poddawała się emocjom bez reszty. A gdy w końcu, po chwili, która trwała całą wieczność, Sam uniósł głowę i spojrzał na nią z niemym pytaniem w oczach, pokręciła głową:

- Ty, Sam. Tylko ty.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nie myślał o jutrze. Przyszłość sama się o siebie zatroszczy. W tej chwili liczyło się tylko jedno. Osoba, którą trzymał w ramionach.

Bez słowa wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Przywarła do niego ciasno. Ich serca uderzały w zgodnym rytmie. Postawił ją na podłodze, szybko zrzucił mundur, a potem pomógł jej się rozebrać. Nie mogła sobie poradzić z zamkiem błyskawicznym na plecach.

Gdy go rozpinał, odsłaniając centymetr po centymetrze jej plecy, poczuł nieprzepartą ochotę posmakowania jej skóry. Zsunął sukienkę z ramion Michelle i obrócił ją przodem do siebie. Po czym schylił głowę i zaczął ją pieścić językiem. To była powolna, a jednak pełna żarłoczności tortura. Jego dłonie badały każdy centymetr, każdą krzywiznę jej ciała, palce muskały skórę. Michelle tuliła się do niego, wiała się pod jego dotykiem i milcząco ofiarowywała mu całą siebie.

- Sam... Sam, teraz...

Dokładnie wiedział, o czym ona mówi. On też tego chciał. Spalał go ogień. Położył ją na łóżku i z miejsca przystąpił do akcji. Przyszła w końcu chwila, by poddać się temu spocie-

łającemu płomieniowi. Pragnieniu i głodowi, z jakim oboje zmagali się od lat.

Kilka minut później, gdy zyskała już pewność, że będzie mogła mówić normalnie i jej głos nie będzie się łamał, Michelle powiedziała cicho:

- Sam, chcę, żebyś wiedział...

- Nie - przerwał jej szybko.

- Co nie? - zapytała, odwracając głowę na poduszce, żeby na niego spojrzeć.

Usiadł na brzegu łóżka, potem wstał i podszedł nagi do osłoniętego koronkową firanką okna. Rozsunął ją na boki i zapatrzył się w ciemną noc na zewnątrz.

- Nic nie mów.

Do licha, nic się nie zmieniło. Seks między nimi był niesamowity, jak zawsze. Ale to nie wystarczyło, żeby zapomniał o tym, iż go oszukała. Nadal targał nim gniew.

Do pokoju wlało się płynne srebro księżycowego światła. Odwrócił głowę i spojrzał na nią. Jego ciało było skąpane w nieziemskiej poświacie.

- Sam, musimy porozmawiać.

Zaśmiał się krótko i pokręcił głową.

- Od jak dawna ci to powtarzam?

Ścisnął głowę rękami.

Widok napinających się mięśni jego torsu sprawił, że znów zaschło jej w ustach. Nadeszła kolejna fala pożądania. Jak to możliwe, że to jest takie silne? Jak to możliwe, że za każdym razem pragnie go coraz bardziej?

- Starczy rozmów na dziś - oznajmił w końcu, a serce Michelle zadrżało na dźwięk powściąganego gniewu.

- Ale...

- Do diabła, wysłaś za mąż za innego!

Michelle się skrzywiła i zagryzła mocno dolną wargę.

- Zniknąłeś z mojego życia. Byłam samotna i...

Położył sobie dłoń na piersi.

- Ja też byłem samotny. Ale nie ożeniłem się zaraz z pierwszą lepszą kobietą, jaka stanęła mi na drodze.

- William nie był pierwszy lepszy - próbowała bronić siebie i swojej decyzji. - I to nie było zaraz, tylko w rok po naszym rozstaniu.

Wyrzucił ręce na boki i pozwolił im opaść wzdłuż ciała.

- Co ty powiesz! Calusieńki rok!

Jego sarkazm ugodził ją mocno. Złapała koc i okryła się nim.

- Dlaczego to robisz?

- Ja? Ja to robię?

- Owszem - powiedziała, po czym wstała z łóżka i stanęła przed nim twarzą w twarz. - To już przeszłość. Dlaczego o tym nie zapomnisz?

- Już ci mówiłem, nie mamy nic poza przeszłością.

- Nie musi tak być.

- Okłamałaś mnie - powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

- To nieprawda. Nigdy cię nie okłamałam.

- Nie powiedziałaś prawdy. Co za różnica.

Trudno mu odmówić słuszności. Nie mogła z tym dyskutować.

- Zrobiłam to, co uważałam za słuszne.

Prychnął zdławionym śmiechem.

- No i co? Jak ci się podobają efekty?

Zalała się rumieńcem. Była zadowolona, że skryła to panująca dookoła ciemność. To dziwne, ale zamienili się rolami. Teraz to ona chciała mu powiedzieć, że nigdy nikogo nie kochała tak, jak jego. Zależało jej, żeby zrozumiał, iż decyzja, którą podjęła przed dziesięciu laty, wynikała z miłości do niego. Być może popełniła błąd, ale również i ona zapłaciła za tę pomyłkę.

Dlatego, dopóki miała jeszcze odwagę, powiedziała po prostu:

- Nie chciałam cię zranić. - Położyła mu rękę na piersi i poczuła przyspieszone bicie jego serca. - Próbowałam usunąć się na bok, żebyś mógł znaleźć sobie kogoś innego. Kogoś, kto by ci dał rodzinę, o której zawsze marzyłeś. Nie rozumiesz, że ja również zapłaciłam słono za tę decyzję?

- Byłaś dla mnie wszystkim. Tylko na tobie mi zależało - powiedział cicho. Michelle ścisnęło się serce.

Mogła powiedzieć tylko jedno. To były słowa, które nosiła w sobie od dziesięciu lat.

- Kocham cię, Sam. Zawsze cię kochałam.

Jęknął.

- Michelle...

Odsunął jej włosy z twarzy i musnął policzek. Lecz potem znowu pozwolił swojej ręce opaść wzdłuż ciała i pokręcił głową.

- Nie zdobyłaś się na rozmowę ze mną. Ani mnie, ani naszej miłości nie zaufałaś na tyle, by powiedzieć mi prawdę.

- Chciałam to zrobić.
- Ale nie zrobiłaś - powtórzył. Jego głos brzmiał twardo i metalicznie. - Gdy tylko coś zaczęło iść nie tak, ty się wycofałaś. Podkuliłaś ogon pod siebie i uciekłaś.

Michelle pokiwała energicznie głową.

- No, dobrze, może rzeczywiście zachowałam się jak tchórz. Sama już nie wiem. Ale, wiesz, ty też nie byłeś bez winy.

- Ja?

Kompletnie oniemiał.

- Owszem, ty. Twierdzisz, że tak bardzo mnie kochałeś, a pozwoliłeś mi odejść.

- Kazałaś mi się wynosić!

- A ty to posłusznie wykonałeś!

Zacisnął szczękę. Oczy zwęziły mu się w wąskie szparki.

- Mam swoją dumę. Nie zamierzałem uganiać się za tobą, skoro wyraźnie dałaś mi do zrozumienia, że mnie nie chcesz.

Michelle westchnęła.

- Zawsze cię chciałam. Ale, na Boga, Sam, byłam taka młoda. - Przełknęła ślinę. - I... tak się bałam.

- Czego?

- Pomyślałam, że jak się dowiesz, że nie mogę mieć dzieci, to mnie zostawisz. Więc sama zostawiłam cię pierwsza. Obrona przez atak.

Odrzucił głowę do tyłu.

- Aaach, Michelle.

- Co się stało, to się nie odstanie. Nic nie mogę na to poradzić - powiedziała. - Nie mogę cofnąć czasu i zwrócić nam tych chwil, które straciliśmy. Do licha, Sam, byłam

wtedy praktycznie dzieckiem. Popełniłam błąd. A co ty masz na swoje usprawiedliwienie?

- O co ci chodzi?

- Chodzi mi o to - warknęła Michelle pod wpływem ogarniającego ją gniewu - że urażona duma każe ci zrezygnować z wszystkiego, co moglibyśmy mieć. Nie chcesz nawet spróbować. - Wzięła głęboki wdech, uspokoiła głos i dołąła: - Teraz wszystko wygląda inaczej.

- Owszem - powiedział i przełknął ślinę. - Teraz chodzi nie tylko o mnie. Teraz muszę też myśleć o bliźniaczkach.

- Wiem o tym i chcę...

- Nie mogę ryzykować, że je skrzywdzisz.

Zamarła, po czym cofnęła się o krok. Nie spuszczała z niego wzroku. Czuła rosnącą w gardle bryłę lodu, która groziła, że ją zadławi. W oczach stanęły jej łzy, ale zdołała je stłumić.

- Myślisz, że mogłabym skrzywdzić te dzieci?

- Nie celowo.

- Więc o co ci chodzi?

Oddychał z trudem.

- Chcę powiedzieć, że nie podejmę drugi raz ryzyka, j akie wiąże się z miłością do ciebie.

Lód w gardle zaczął pękać i rozchodzić się odłamkami po całym ciele. Czuła ból. Jeszcze parę chwil temu patrzyła w przyszłość z taką nadzieją. Miała wrażenie, że nawiązali kontakt na poziomie dusz, stali się jednym. A teraz był od niej dalej niż kiedykolwiek.

Pokręcił głową, spojrział jej prosto w oczy i ciągnął dalej, teraz już łagodniejszym tonem, ale nie mniej stanowczo:

- Wiem, że kochasz dziewczynki. I wiem, że one są twoją szansą na macierzyństwo...

Poczuła się dotknięta.

- Nie wyszłam za ciebie ze względu na dzieci. - Oparła obie dłonie na jego piersi i pchnęła go z taką siłą, że musiał zrobić krok czy dwa do tyłu. - Ty łajdaku. Jak możesz w ogóle coś takiego mówić? Przecież mnie znasz.

- Tak - zgodził się z nią. - Znam cię. Może nie zrobiłaś tego świadomie, ale to w niczym nie zmienia sytuacji. Uważam, że najlepiej będzie, jeśli nasze małżeństwo pozostanie tym, co ustaliliśmy z góry. Czyli interesem.

- A to? Co to było? - zapytała, machając ręką w stronę łóżka zarzuconego pomiętą pościelą. - Fuzja?

- Błąd - odparł krótko.

- Jeszcze minutę temu miałeś na ten temat inne zdanie - przypomniała mu.

- To niczego nie zmienia, Michelle.

Było jej zimno. Chłód przenikał ją aż do kości. Otuliła się ciasniej kocem i zapytała:

- W takim razie, czy pozostajemy małżeństwem?

- Tak. Jeśli nie masz nic przeciwko temu. Przynajmniej do czasu, aż rozwiąże się kwestia opieki nad dziećmi.

Jakie to wszystko smutne, pomyślała. Gniew powoli ją opuszczał. Pozostał tylko chłód w okolicach serca. Dzień, który się tak pięknie rozpoczął, skończył się katastrofą. Miała swoją szansę dziesięć lat temu. Najwyraźniej, wbrew temu, co myślała, los daje tylko jedną szansę. Twoja sprawa, jeśli z niej nie skorzystałaś.

- Oczywiście - powiedziała głucho, pozbywając się resztek nadziei. - Jak sobie życzysz.

Miała wrażenie, że nigdy nie pozbędzie się tego chłodu, który w niej zagościł.

- Dziękuję...

Uciszyła go gestem dłoni.

- Nie dziękuj mi. - Jej głos drżał. Łapała powietrze jak wyjęta z wody ryba. - Na litość boską, błagam cię, nie dziękuj mi, - Zgrzytnęła zębami, dodając jeszcze: - Wiesz... Tu chodzi tylko i wyłącznie o twoją dumę, Sam.

- Co?

- Kurczowo trzymasz się przeszłości. Tym razem to ty odrzucasz przyszłość. - Ściągnęła ciaśniej koc, uniosła brodę. - Moglibyśmy być tacy szczęśliwi. To właśnie jest najsmutniejsze. Kocham cię, Sam. Nigdy nie przestanę cię kochać. - Głos się jej załamał, wbrew wszelkim wysiłkom. Nawet widok jego zwieszonych ramion nie powstrzymał jej przed powiedzeniem tego, co musiało zostać powiedziane: - Żyjesz miłością sprzed dziesięciu lat. Ja żyję uczuciem terazniejszym. - Po czym szybko, zanim opanuje ją jeszcze większy wstyd, ruszyła do drzwi. Zatrzymała się jednak w progu i posłała ostatnią kulę: - Wojna skończona, sierżancie. Moje gratulacje. Wygrałeś.

Po czym wyszła, nie oglądając się za siebie.

Nie zobaczyła cierpienia, jakie odmalowało się na jego twarzy, gdy za nią patrzył.

Następnie dni minęły jak we mgle. Wypełniał je niewypowiedziany ból.

Sam wykonywał swoje obowiązki, ale nie wkładał w to serca. Co go obchodzi, że jakiś chłopak chce wstąpić do piechoty morskiej? Był w stanie myśleć tylko o jednym: jego życie legło w gruzach.

W domu wcale nie było mu łatwiej. Przez zbrązowiały na zimę trawnik widział Michelle i dziewczynki. Wiatr niósł głośny śmiech Michelle. Dzieci klaskały radośnie rączkami. Serce mu się ścisnęło.

Mógłby... mogliby być tacy szczęśliwi. A jednak nie potrafił zapomnieć o przeszłości. Mimo że wciąż słyszał w głosie oskarżycielski ton Michelle, który właśnie to mu zarzucał. Może miała słuszość, pomyślał. Ale jak człowiek ma zapomnieć o tym, że kobieta, którą kiedyś kochał nad życie, kazała mu się wynosić? Zresztą jaką ma gwarancję, że to się nie powtórzy?

- Sam!

Głos Michelle wyrwał go z zamyślenia. Odstawił grabie i zrobił krok w jej kierunku, po czym sobie uświadomił, że ona nie potrzebuje pomocy. Chce tylko zwrócić jego uwagę.

Jedna z bliźniaczek - z tej odległości nie był w stanie powiedzieć która - stała o własnych siłach. Poczul, że puchnie z dumy. Dziewczynka tymczasem zrobiła krok, potem drugi, po czym pacnęła ciężko na trawę swoją osłoniętą pieluszką pupą.

- Brawo, Bethie. - Michelle wzięła dziecko na ręce.

W jej głosie wyraźnie pobrzmiewała miłość do dzieci.

Przebiegł przez ogród i zaraz znalazł się przy swoich kobietach. Uklęknął koło Michelle i Beth. Wziął na ręce Marie

i przytulił ją mocno. A potem wpatrzył się w te dwie identyczne buzie okolone kapturkami jaskrawo różowych kurteczek. Następnie przeniósł wzrok na Michelle.

- Czyż to nie wspaniałe? - zapytała.

- Owszem - odpowiedział, patrząc prosto w jej oczy, rozświetlone dumą i uczuciem do dziewczynek. - Wspaniałe.

Serce Michelle drgnęło. Tak bardzo by chciała, żeby sytuacja wyglądała inaczej. Ale nie wyglądała. I nigdy nie będzie wyglądała. Sam podjął decyzję. Odrzucił jej uczucie równie stanowczo i skutecznie, jak ona jego dziesięć lat temu. Lepiej przyjąć to do wiadomości i się z tym oswoić. Najlepiej od zaraz.

Oddała Beth Samowi i wstała. Puste ramiona wrywały się do nich.

- Zostawię cię teraz z dziewczynkami. To wyjątkowa chwila. Takie momenty są zarezerwowane dla rodziny.

- Michelle...

Pokręciła głową i przełknęła gulę, która tymczasem urosła jej w gardle. A potem odwróciła się i poszła do domu, uważnie stawiając stopy. Jednak jej serce zostało z nimi.

Sam patrzył za nią. Mimo że na rękach trzymał roześmiane dzieci, w duszy czuł kompletną pustkę.

Trzy tygodnie później

Czas płynął powoli, odmierzany długimi, pełnymi napięcia dniami. Życie w małym domku płynęło pod znakiem niemal nieznośnej uprzejmości. Michelle zajmowała się dziećmi i domem, przygotowywała kolacje, prowadziła swo-

ją firmę. Robiła to, co zawsze. Z jednym, wielkim wyjątkiem. Nie rozmawiała z Samem. Nie patrzyła mu w oczy. Boże, jak on za nią tęsknił. Zwłaszcza nocami, które ciągnęły się bez końca. Męczyła go bezsenność. To wszystko go wykańczało. Potarł powieki i powiedział sobie po raz nie wiadomo który, że zachował się tamtej nocy jak ostatni dureń.

Lecz ta świadomość niczego nie mogła zmienić.

Stał w kącie salonu Mirandy i patrzył na uwijających się jak w ukropie członków rodziny Fortune'ów. Najwyraźniej sporo pozostawiono jeszcze do zrobienia na ostatnią chwilę. Do ślubu zostało tylko kilka minut. Goście kręcili się po domu, gawędząc i sącząc szampana, który Ryan zakupił na wesele siostry.

Sam przyglądał się temu wszystkiemu z boku. Nie był w nastroju do świętowania. Kątem oka zauważył Michelle, która z uśmiechem na twarzy rozmawiała z Kate Fortune. Zastanawiał się, czy ktoś poza nim dostrzeże, że jest spięta i zmęczona, a jej uśmiech wymuszony. Całym sobą się do niej wrywał. Pragnął podejść, porozmawiać z nią. Lecz chwilę później zniknęła mu z oczu. Doglądała szczegółów „uroczystości”, którą tak starannie zaplanowała.

Poczuł szarpnięcie. Spojrzał w dół. To Beth próbowała wstać, pomagając sobie nogawkami jego spodni. Uśmiechnął się ciepło. Wiedział, że bliźniaczki na niego liczą. Musiał zapewnić im bezpieczny dom. Przeżyły już stratę, na jaką nie powinno być narażone żadne dziecko. Nie zamierzał po raz kolejny stawiać na szali ich szczęścia.

Lecz - odezwał się głos z tyłu głowy - czy Michelle rze-

czywiście stanowi zagrożenie? A może dziewczynki są dla niego tylko pretekstem? Może tak naprawdę chodzi mu o to, by nie narażać na ryzyko własnego serca?

Pokręcił głową i spojrzął na Marie, która poszła w ślady siostry i trzymała się kurczowo jego drugiej nogawki. Obie chwiałały się na boki na miękkich kolankach. I obie promiennie się do niego uśmiechały. Na chwilę zapomniał o całym zamęcie w duszy.

- Wy dwie macie mnie pewnie za skończonego idiota, co? - zapytał, po czym westchnął niespokojnie. - Może i jestem idiotą. Do licha, człowiek nie potrafi nawet zebrać myśli, gdy nie może spać po nocach - dodał, choć nie podejrzewał, by akurat to specjalnie którąkolwiek z nich interesowało.

- Myśle, że mam na to lekarstwo - odezwał się kobiecy głos z boku.

Sandra Butler uśmiechnęła się do niego szeroko i podała mu szarą kopertę.

- Co to jest? - zapytał patrząc to na kopertę, to na pełen satysfakcji uśmiech prawniczki.

- Sierżancie - powiedziała - to są dokumenty przyznające panu prawo do opieki nad dziećmi.

- Co?

Poczuł przyływ nadziei. Wziął kopertę, rozdarł ją i wyciągnął ze środka dokumenty. Przejrzał je pobieżnie, po czym znowu podniósł wzrok na Sandrę.

- Naprawdę? Sprawa załatwiona?

- Wszystko ustalone - powiedziała, biorąc od przechodzącego obok kelnera wysoki kieliszek z szampanem. -

Dziadkowie zrzekają się opieki nad dziećmi. Pod warunkiem, że pozwoli im je pan odwiedzać.

- Odwiedzać? - powtórzył, spoglądając na dziewczynki, które teraz już oficjalnie były jego córkami. - A niech mnie, pewnie, że mogą je odwiedzać. - Miał wrażenie, że żelazna obręcz dookoła piersi nieco się rozluźnia. - Przecież to ich dziadkowie.

- Spodziewałam się, że tak pan podejdzie do sprawy - odparła na to Sandra, wciąż promiennie się uśmiechając. - A teraz - dodała, spoglądając w stronę tłumu - chyba pójdę zając jakieś dobre miejsce.

Odwróciła się i już miała odejść, gdy zatrzymał ją głos Sama.

- Pani Butler?

- Słucham? - spojrzała na niego uważnie.

Wzruszył bezradnie ramionami.

- Nie wiem, jak pani dziękować.

- Właśnie pan to zrobił - uspokoiła go, po czym zniknęła w tłumie gości.

Znowu został sam. Nie zwracał uwagi na ludzi wychodzących na taras. Nachylił się nad dziewczynkami, wziął je na ręce i przytulił mocno do siebie. Aż zagryzł zęby, żeby nie ścisnąć ich za mocno.

- Nic wam już nie grozi - wyszeptał. - I tak będzie zawsze. Obiecuję.

- Sam? - To był głos Michelle. Dochodził z bliska. — Sam, co ty robisz? Połamiesz im żebra.

Poderwał głowę, spojrzał jej prosto w oczy. Był bliski łez.

Na ten widok serce stanęło jej w piersiach. Musiało się stać coś strasznego. Tylko prawdziwa tragedia mogła skłonić mężczyznę takiego, jak Sam, do płaczu. Ogarnęło ją przerażenie.

- Co? - zapytała nerwowo, biorąc od niego Beth i tuląc ją do siebie. Potrzebowała uspokajającego ciepła dziecięcego ciała. - Co się stało?

- Przyznano mi opiekę nad dziećmi - powiedział. W jego głosie słychać było niedowierzenie.

Ogarnęła ją mieszanina stłumionych emocji. Czowała wszystko naraz: radość, rozpacz, rozczarowanie. Sam został prawnym opiekunem dziewczynek, są bezpieczne. Teraz ona, Michelle, nie jest już potrzebna, prawda?

Kręciło się jej w głowie. Pocałowała Beth w policzek, napawając się delikatnym, słodkim zapachem dziecka. Spojrzała w zielone oczy Sama. Mieli trzy tygodnie, żeby porozmawiać, spróbować pokonać przepaść, jaka ich rozdzieliła. Nie zdołali tego zrobić. Oczywiście fakt, że go przez cały ten czas ignorowała, specjalnie nie poprawiał sytuacji. W bezsenne noce leżała w łóżku i słyszała, jak on się tłucze po domu, zagląda do dziewczynek, zatrzymuje się przed drzwiami jej pokoju, po czym znika w ciemnościach. Łkała w poduszkę. Po raz drugi w życiu opłakiwała jego stratę.

A teraz było już za późno. Czowała to. Za chwilę rozpocznie się ceremonia. Musi mu to teraz powiedzieć. Nie ma sensu dłużej udawać.

- To cudownie, Sam - zaczęła, a każde słowo z trudem przechodziło jej przez gardło. - Cieszę się. Ze względu na całą waszą trójkę.

Wbił w nią wzrok. Chyba zrozumiał, że to pożegnanie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał, podrzucając Marie wyżej na rękach.

Michelle potrząsnęła tylko głową i podała mu Beth. Jej ręka o ułamek sekundy zbyt długo pozostała na plecach dziecka. Gdy Marie wyciągnęła do niej rączki, Michelle poczuła jeszcze silniejsze ukłucie w sercu, ale konsekwentnie zrobiła krok do tyłu. Splotła ręce za plecami.

- To, z czego oboje zdajemy sobie sprawę - powiedziała drżącym tonem. - Pobraliśmy się dlatego, że to miało pomóc ci zdobyć prawa do opieki nad dziewczynkami. - Jej dolna warga drżała, ale mimo to ciągnęła dalej. Chciała to jak najszybciej z siebie wyrzucić. - Teraz nie jestem ci już potrzebna. Nawet po rozwodzie będę mogła się nimi zająć, gdybyś wyjeżdżał na manewry.

- Michelle...

- Nie potrzebujesz mnie - powtórzyła, tym razem bardziej stanowczo. - Jutro się wyprowadzę. Złóż papiery rozwodowe.

- Rozwód?

Zrobił krok w jej kierunku, ale Michelle pokręciła głową i odsunęła się od niego.

- Chodźcie już - zawołał ich Flynn Sinclair. - Ślub zaraz się zacznie.

- Idziemy, idziemy - odpowiedziała Michelle, nie odrywając wzroku od Sama. W końcu odwróciła się, lecz zanim odeszła, wyszeptowała jeszcze: - Żegnaj, Sam.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Od rozpoczęcia ceremonii ani przez chwilę nie byli sami. Michelle kręciła się po salonie, gawędziła z gośćmi, doglądała przyjęcia. Była wszędzie, tylko nie tam, gdzie on.

Na weselu Mirandy i Daniela zebrał się cały klan Fortune'ów. Wszyscy świętowali. Pojawiła się nawet Leeza Carter. Sam odniósł wrażenie, że Leeza świetnie się bawi. Przez moment zastanawiał się nad tym, co ją tu przyciągało, skoro wyraźnie nie jest mile widziana.

Szybko jednak porzucił myśli o Leezie i skupił się na przyjemniejszych rzeczach. Rozejrzał się dookoła. Lily praktycznie nie odstępowała swojego męża, Ryana, jakby nie mogła uwierzyć, że przeżył próbę otrucia i już ma się dobrze. Zaproszono też wszystkich niedawno odnalezionych członków rodziny, wśród których był i Sam. Flynn i Emma tańczyli na tarasie. Holly i Guy Blackwolf oraz Tara i Jonas Goodfellowowie bawili się z obecnymi na weselu dziećmi. Syn Ryana, Nico Tanefi, który wyglądał niczym arabski szejk, tańczył ze swoją narzeczoną, Esmą Bakkar. Miranda i Daniel nie odstępowali się na krok. Przechadzali się wśród gości, trzymając się za ręce, jakby nie mogli znieść rozstania

nawet na chwilę. Gabrielle i Wyatt Grayhawk stali w rogu i rozmawiali z Freddie Suarezem. Sam zauważył odruchowo, że mają zdecydowanie zbyt poważne miny, jak na taki moment. Uznał, że pewnie dwójka prawników rozmawia o interesach.

Uśmiechnął się smutno. Powinien czuć się teraz szczęśliwy. Miał rodzinę, o jakiej zawsze marzył. Miał teraz tyle ciotek, wujów, kuzynów i przyrodniego rodzeństwa, że starczyłoby na zaludnienie małego miasteczka. I, co najważniejsze, dostał prawa do opieki nad dziewczynkami.

Skoro wszystko się świetnie układa, to dlaczego jest mu tak ciężko na duszy? Głupie pytanie. Doskonale wiedział, czemu jest nieszczęśliwy. Zasłużył sobie na to. Napił się zimnego piwa. Gdy dotarło do żołądka, poczuł jakby uderzenie lodowatej, ołowianej kuli. Skrzywił się i odstawił piwo na tacę, bo obok właśnie przechodził kelner. Jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Wypatrywał kogoś.

Była po drugiej stronie pokoju. Właśnie szła po schodach na górę. Trzymała rękę na poręczy, ale wzroku nie odrywała od tłumu gości poniżej. W chwili gdy znikwała za zakrętem schodów, na jej twarzy odmalowało się skrzętnie ukrywane przez cały dzień cierpienie. Idź za nią, idioto, podpowiadało mu własne serce. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu zignorował racjonalny, logiczny głos rozsądku i posłuchał serca. Zrobił to, co powinien był zrobić już dawno temu.

Posłuchał serca. Ono prowadziło go do Michelle. Ono nie przestało za nią tęsknić.

- Jeśli pozwolisz jej odejść, to jesteś największym dur-
niem pod słońcem - powiedział do siebie.

Przez całą minioną dekadę oplakiwał jej stratę. Wyobrażał
sobie, jakie mogłoby być ich wspólne życie. A teraz miał
szansę napisać ich historię na nowo. Czy naprawdę odrzuci
to przez głupią dumę?

Decyzja została podjęta. Poszedł za nią. Tak jak powinien
był za nią pójść, gdy odeszła od niego po raz pierwszy.,
Z ponurą determinacją zacisnął zęby. Z wolna przedzierał się
przez tłum gości. Nie spuszczał wzroku ze schodów, które
miały go zaprowadzić do Michelle. Zobaczył, jak inspektor
Suarez wbiega na górę, biorąc po dwa stopnie.

Przeszła go nieokreślona obawa. Instynkt kazał mu
przyspieszyć kroku. Zapomniał o grzeczności, opuścił gło-
wę i jak taran przepychał się między gośćmi w stronę scho-
dów.

Michelle stała na szczycie schodów. Czuła ulgę, że choć
przez kilka minut może pobyc z dala od tych wszystkich
tryskających szczęściem ludzi. Potarła skronie. Ból głowy jej
nie opuszczał. Przyszła na górę, by się upewnić, czy rzeczy,
w które państwo młodzi mają się przebrać na podróż, są
przygotowane. Mimo własnych, gorzkich doświadczeń nie
zamierzała pozwolić, by cokolwiek zepsuło ten wyjątkowy
dzień Mirandzie i Danielowi.

Ta myśl wywołała kolejną falę rozżalenia. Nie pozostawa-
ło jej nic innego, jak się do tego przyzwyczać.

- Sama jesteś sobie winna - mruknęła pod nosem. Z bó-

lem mieszał się teraz gniew. - Kto ci się kazał zakochiwać w takim uparciuchu? Ale nie, ty nie mogłaś sobie wybrać kogoś rozsądniejszego. To po prostu musiał być taki twardogłowy żołnierz piechoty morskiej.

Zagryzając zęby, zatrzymała się przed drzwiami prowadzącymi do pokoju Mirandy. Zmusiła się do uśmiechu. Już niedługo wesele się skończy i będzie mogła pójść do domu. Spakować się. Och, nie ma co, taka perspektywa rzeczywiście podnosi na duchu.

Weszła do środka i stanęła jak wryta.

- Leeza?

Postawna, zaniedbana blondynka wolno obróciła głowę i wbiła wzrok w Michelle.

- Co ty tutaj robisz? - zapytała, a jej twarz wykrzywiła niechęć.

- Ciebie mogłabym zapytać o to samo - odpowiedziała Michelle i wtedy zauważyła leżącą na toalecie pustą szkatułkę na biżuterię. Opanowało ją oburzenie. - Kradniesz biżuterię Mirandy?

- No, cóż - mruknęła Leeza i wycelowała w Michelle pistolet. - Wielka szkoda, że się tu musiałaś napatoczyć. - Wzruszyła szerokimi ramionami, przez co jej obfity brzuch aż zafalował. - To się nazywa znaleźć się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, skarbie.

Michelle oderwała wzrok od czarnego oka pistoletu i spojrzała w zimne oczy Leezy. Zdawała sobie sprawę, że wpakowała się w kłopoty. Lecz, o dziwo, strach nie był na tyle silny, by kazać jej ugryźć się w język.

- Masz broń? - Przerwała, a potem wyszeptała: - To byłaś ty, prawda?

- Co masz na myśli?

Sam nagle zeszywniał i zrobiło mu się zimno, gdy zza drzwi dobiegły go słowa Michelle. Leeza jest uzbrojona.

Dobry Boże! Spojrzał za siebie. Z dołu sączyła się muzyka, dochodziły dźwięki rozmów. Cała scena robiła wrażenie nierealnej. To się chyba nie dzieje naprawdę. Michelle w rzeczywistości nie jest w tym pokoju, sam na sam z niezrównoważoną emocjonalnie, uzbrojoną kobietą.

Nagle przed oczami przewinął mu się film przedstawiający przyszłość. Zobaczył siebie, jak sam wychowuje dziewczynki. Żyje dalej pozbawiony śmiechu Michelle. Pozbawiony jej fizycznej obecności, pieścizot. Poczul wszegogarniającą pustkę. Nie mógł tego znieść. Nie mógł znowu jej stracić. I nie straci. Nie tym razem.

Szturchnął Suareza, ale ten pokręcił tylko głową i położył palec na ustach. Do pioruna, mają tak siedzieć i słuchać? Czy on sobie nie zdaje sprawy z tego, że Michelle grozi niebezpieczeństwo?

Zalala go fala paniki, ale nawet nie drgnął. Przywoływał teraz na pomoc umiejętności nabyte w piechocie morskiej. Logika. Rozsądek. Nie pomagało. Postanowił dać inspektorowi Suarezowi minutę lub dwie, bo ten najwyraźniej na coś czekał. Lecz gdy tylko rozmowa się urwie, gdy życie Michelle będzie zagrożone, Sam wdrze się do środka, nawet gdyby oznaczało to złamanie prawa.

- To ty otrułaś Ryana Fortune'a - powiedziała Michelle. Leeza odpowiedziała uśmiechem.

- Co mi tam, mogę ci powiedzieć. I tak nie pobiegiesz na dół, żeby się tym podzielić z innymi, nie? - Zaśmiała się. Brzmiało to jak klekot kości. - Tak, to ja. Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z moim planem i ten stary łajdak by zmarł, nie musiałabym zawracać sobie głowy jakąś szkatułką z biżuterią.

- Dlaczego zależało ci na jego śmierci? - zapytała Michelle.

Liczyła na to, że jeśli będzie podtrzymywać rozmowę dostatecznie długo, to może ktoś przyjdzie na górę i ocali jej życie.

Leeza gestem uzbrojonej dłoni kazała Michelle podejść bliżej.

- To był pomysł Lloyda. Oczywiście, nic z tego nie wyszło. Temu facetowi niczego w życiu nie udało się zrobić dobrze.

- Nie rozumiem - skłamała Michelle.

Leeza prychnęła, nie spuszczać z niej oka. Potem złapała torebkę i zarzuciła ją sobie na ramię.

- Lloyd założył, że w przypadku śmierci Ryana na Mirandę przypadnie więcej pieniędzy Fortune'ow. Sama widziałaś, jakie życie wiodą ci ludzie. Co dla nich znaczy kilka milionów? Dosypałam mu naparstnicy do karafki z porto. Aż mi się serce kroilo, gdy widziałam, że policja próbuje w to zrobić jednego z nowo odnalezionych Fortune'ow. - Pokręciła głową i uśmiechnęła się leniwie, jakby rozkoszowała się tym wspo-

mnieniem. A potem uśmiech zbladł. - Wszystko potoczyłoby się zgodnie z planem, gdyby ten stary głupiec zmarł.

- Ale nie zmarł.

- Nie. - Leeza pokręciła głową. Jej jasne włosy wisiały w strąkach po obu stronach twarzy. - Potem Lloyd kopnął w kalendarz i zostawił mnie samą na łaskę losu. - Wyraźnie oburzona, wzruszała raz za razem ramionami. - Więc co pozostaje takiej dziewczynie jak ja? Wiesz, lat mi nie ubywa. Nie robię się coraz młodsza. Dlatego uznałam, że wezmę, co się da, i znikam.

- Dokąd chcesz pojechać?

Michelle przełknęła ślinę i rozejrzała się po pokoju. Szukała miejsca, gdzie mogłaby się schronić przed kulą. Niestety, łóżko nie wyglądało na kuloodporne.

- Na pewno nie tak daleko, jak bym chciała - odparła Leeza. - Lecz gdy sprzedam te świecidełka, to na jakiś czas będę urządzona. Pozbędę się ciebie i zdążę się wynieść z tego miasta, zanim ktoś się zorientuje, że biżuteria zniknęła.

- Miranda zorientuje się od razu - powiedziała Michelle, choć nie miała pewności, czy ta uwaga jej pomoże, czy też jeszcze pogorszy sytuację.

Jedno było pewne. Dopóki rozmawiają, Leeza przynajmniej nie strzela. A to już coś. Sam, do cholery, dlaczego mnie nie szukasz? Potrzebuję cię teraz.

- Jest tak zajęta tym swoim nowym mężulkiem, że nie będzie sobie zaprzętać głowy paroma kamykami. - Leeza uniosła pistolet nieco wyżej. Michelle znowu patrzyła prosto w czarne oko lufy. - Pytanie tylko, co mam zrobić z tobą?

- Chyba znam odpowiedź na to pytanie - powiedział ostro inspektor Suarez, wchodząc do pokoju. Trzymał Leezę na muszce.

Sam stał zaraz za nim. Na jego widok pod Michelle ugięły się kolana.

- A niech to wszyscy diabli - wymamrotała Leeza.

- Rzuć broń, Leezo. Nigdzie stąd nie pójdziesz - powiedział rozkazującym tonem Suarez.

Leeza przez chwilę się wahała, po czym rzuciła pistolet na łóżko.

- Nie powinnam była słuchać Lloyda - powiedziała nie wiadomo do kogo. - Od samego początku pobytu w Teksasie prześladuje mnie pech.

Serce Sama zaczęło znowu bić, gdy otoczył Michelle ramieniem i przyciągnął ją do siebie. Wtuliła się w niego. Ścisnął ją tak mocno, że mógłby ją zmiażdżyć. Ale przecież człowiek nieczęsto znajduje się w sytuacji, gdy szalenie mierzy do jego żony.

- Patrząc na to z perspektywy Fortune'ów, to raczej inni mieli pecha, gdy pojawiłaś się w mieście - powiedział Freddie sarkastycznie. - Rzuć torbę na łóżko i połóż obie ręce na karku.

- W jej torebce jest biżuteria Mirandy - wyjaśniła Michelle.

- Tak, wiem - odparł, posyłając jej uśmiech. - Podsluchiwałem pod drzwiami.

- No, to mnie macie - mruknęła Leeza. Stała spokojnie, gdy Suarez zakładał jej kajdanki.

Prowadził ją już w stronę drzwi, gdy obejrzał się i spojrzął na Sama i Michelle.

- Będziecie musieli złożyć zeznania.

- Może jutro? - zapytał Sam.

- Świetnie. - A potem dodał: - Chodź już, Leezo. Myślę, że polubisz więzienie w San Antonio.

Mruknęła coś pod nosem, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Gdy Michelle i Sam zostali sami, w pokoju zapadła gęsta cisza. Michelle wdychała zapach mężczyzny. Miała nadzieję, że zapamięta to na zawsze, że wspomnienia nigdy jej nie opuszczą. Jeszcze parę chwil temu była na krawędzi śmierci, a teraz, w ramionach Sama, czuła się bardziej żywa niż kiedykolwiek w ciągu tych długich lat.

Przytulił ją mocno.

- Chyba nigdy w życiu się tak nie bałem.

- Ja też. Nawet nie wiesz, jak się ucieszyłam na twój widok.

Otoczyła go ramionami w pasie i rozkoszowała się bliskością. Nie wiedziała przecież, czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczy, nie wspominając już o prostej przyjemności tulenia się do niego.

- Michelle - powiedział Sam, odsuwając się od niej na tyle, by mógł spojrzeć jej prosto w oczy.

Kciukami muskał jej kości policzkowe. Ciepło promieniujące od jego dłoni docierało do najgłębszych zakątków jej duszy. Tak bardzo za nim tęskniła. Tak bardzo go pragnęła.

- Kocham cię, Michelle. Zawsze cię kochałem.

Oddychała nierówno, ale on jeszcze nie skończył.

- Zachowałem się jak idiota. Jak uparty osioł. Niewiele brakowało, a bym cię przez to stracił. - Jego spojrzenie było jak pieszczota. - Miałaś rację. To, co mi powiedziałaś ostatnim razem, to prawda. Nie mogłem się pogodzić ze świadomością, że przez głupią dumę zmarnowałem czas, który mogliśmy spędzić razem. Byłem zbyt tchórzliwy, żeby za tobą pójść i zmusić cię do odpowiedzi. A gdy w końcu ją otrzymałem, znowu odezwała się duma. Do licha, Michelle, oboje popełniliśmy błędy... Nie róbmy tego więcej.

- Sam...

- Nie - przerwał jej. - Pozwól mi skończyć. Muszę to powiedzieć. Chcę, żebyś mnie zrozumiała. Kiedy się zorientowałem, że grozi ci niebezpieczeństwo... - Pokręcił głową i uśmiechnął się niepewnie. - Niewiele brakowało, a zdzieliłbym Freddiego po głowie, żeby pozwolił mi wejść do środka. Myślałem tylko o tobie.

Zabrakło jej tchu w piersiach. A w sercu znowu zagościła nadzieja.

- Nie dbam już o przeszłość - ciągnął dalej. - I nic już nie zostało z mojej dumy. Interesuje mnie tylko przyszłość. Nasza wspólna przyszłość.

- Sam...

- Nie mów „nie” - przerwał jej znowu i mówił dalej, pośpiesznie: - A przynajmniej nie odmawiaj mi od razu. Zastanów się chociaż. Chcę być twoim mężem, Michelle. Zawsze chciałem nim zostać. Chcę, żebyśmy byli razem. Razem wychowali dziewczynki. Stworzyli rodzinę. To było nam pisane. Daj mi szansę. - Pocałował ją czule. - Nie mogę

bez ciebie żyć. Kocham cię jak szalony. Daj mi szansę. Nie mów „nie”.

W jej żyłach krew pieniała się niczym doskonały szampan. Ten twardy, dumny, uparty żołnierz piechoty morskiej składał u jej stóp cały świat i miał przy tym taką minę, jakby się bał, że ona odrzuci ten dar. Ujęła jego twarz w obie dłonie i pokręciła głową.

- Idioto - wyszeptała. - Jak mogłeś w ogóle pomyśleć, że powiem „nie”? Kocham cię. Na zawsze.

Westchnął z ulgą.

- Na zawsze - mruknął.

Po czym pochylił się i przypieczętował ich układ pocałunkiem.

RRS